Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 85 | 15 lutego, 1945 | Cena (Price) 1/-

RÓWNOWAGA ŚWIATOWA

I JEDNOŚĆ POLSKA

PRZED pierwszą wojną światową równowagę polityczną na całym globie ziemskim zapewniała równowaga europejska i . . . flota brytyjska. Traktat pokojowy wersalski, a raczej jego wykonanie — nie doprowadził do nowej stałej równowagi europejskiej, zapewniając przejściowo tylko równowagę chwiejną. Nie zredukowano bowiem dostatecznie po tamtej wojnie masy niemieckiej, ani też nie zużyto przy nowej konstrukcji w sposób właściwy masy, którą przedstawiały narody Europy Środkowo-Wschodniej. Środek ciężkości nowej konstrukcji znalazł się w osłabionej Francji, środek zaś właściwy masy europejskiej krążył chaotycznie, aż rozpadł się na dwa: w Berlinie i Moskwie. Konstrukcja europejska, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, zawaliła się, a raczej została zawalona, a dzisiaj jesteśmy świadkami rwania z ziemi jej fundamentów. Zachodzi więc pytanie, jak odbudować konstrukcję europejską i włączyć ją do równowagi światowej.

Zawalenie bowiem równowagi europejskiej wpłynęło decydująco na problem równowagi światowej. Japonia np. czekała z właściwym atakiem zbrojnym na posiadłości i dominia europejskie i amerykańskie na Wschodzie na upadek Francji i Holandii, oraz na wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej. To jej dopiero dało szanse — w jej mniemaniu — rozprawienia się na Wschodzie z mocarstwami angielskiego języka.

Zagadnienie równowagi światowej nabrało jednak w naszych czasach nie tylko nowych aspektów politycznych, ale i technicznych. Wielka rewolucja techniczna, której jesteśmy świadkami, lub uczestnikami, zmieniła m.i. zasadniczo stosunek potęg lądowych do morskich. Komunikacja morska była dotychczas nieproporcjonalnie łatwiejsza od lądowej. Gubernator posiadłości rosyjskich w Ameryce, na brzegach Pacyfiku, musiał w XVIII wieku jechać z Petersburga dwa lata do miejsca swojego urzędu, gubernator hiszpański w Kalifornii, sąsiad podówczas Rosjanina, odbywał swoją podróż w czasie dziesięciokrotnie krótszym.

Najnowszy przewrót techniczny zmniejszył znakomicie tę rozpiętość między komunikacją lądową i morską. Mocarstwa lądowe nie cierpią już na *elefantjazis* przestrzeni i angażując się na jednych krańcach swoich olbrzymich dzierżaw, nie osłabiają się bynajmniej przez to na przeciwległych. Wręcz przeciwnie, bezwzględny i względny wzrost ich potęgi, przez osłabienie jednego sąsiada, wpływa natychmiast ujemnie na położenie drugiego. Mocarstwo lądowe tak olbrzymie jak Rosja, dopiero teraz może w całej pełni korzystać z wyższości zasady przesuwania własnych sił po liniach wewnętrznych swojego obwodu, podczas gdy mocarstwa morskie nadal krążyć będą musiały po liniach zewnętrznych, Dotąd postęp techniczny wieku XIX stawiał w pozycji uprzywilejowanej pod tym względem tylko Niemcy, największą potęgę lądową europejską czasów w naszych oczach przemijających. Dziś miejsce Niemiec w skali światowej zaczyna zajmować Rosja.

Czy przedstawiciele największych trzech mocarstw zdołają "uchwycić" jaką taką przynajmniej równowagę na obecnej swojej konferencji? Czy też otrzymamy znowu tylko równowagę chwiejną, która każdej chwili może być ponownie obalona i pogrążyć świat w odmętach jeszcze jednej wojny? Zależy to przede wszystkim od załatwienia spraw Europy Środkowo - Wschodniej, a więc i Polski. Skoro potęga niemiecka starta zostanie z "szachownicy sił", i gdyby europejską Strefę Środkową inkorporowano do Związku Sowieckiego, nie pozostanie już nic na kontynencie Europy, co by mogło utrzymać samodzielność wobec Sowietów. Nawet polityka francuska, poczynająca sobie dziś tak samodzielnie, spaść może do roli odgrywanej w ostatnich latach przez rząd Prezydenta Benesza.

Rosja zarysowała wyraźnie swój program w Europie. Zaangażowanie się w kierunku zachodnim, nie odciągnie jej bynajmniej, jak to myślą niektóre koła brytyjskie, od ekspanzji w Azji Przedniej, ani, jak to myślą niektóre koła amerykańskie, od ekspanzji na Dalekim Wschodzie i w Chinach.

Polityka brytyjska nigdy nie była logiczna, zawsze zaś empiryczna, jak w ogóle umysłowość tego wyspiarskiego narodu. Dąży ona wytrwale do pobicia Niemiec i poświęca dla tego celu wszystko, co w najbliższych paru latach nie będzie odgrywało żadnej roli samodzielnej. A co będzie za parę lat — zobaczymy, myślą Anglicy.

Nie umiejąc zdobyć się na ułożenie jednej formuły, odtwarzającej w sobie potrzeby Europy i interesy brytyjskie, polityka Londynu idzie od wypadku do wypadku, od kraju do kraju. Naturalnie, jest w interesie brytyjskim, żeby w Europie istniały niepodległe państwa, nie przerastające siłą W. Brytanii. Więc też Brytyjczycy pomagają w odbudowaniu niepodległej i samodzielnej politycznie Francji, choćby im miała sprawiać kłopoty. Francja bowiem jest najbliżej.

Za Francją są Włochy, więc Brytania pomaga Włochom w odbudowaniu — już po tej stronie koalicji wojennej — państwa i rządu. Churchill martwił się nawet w ostatniej swojej mowie parlamentarnej, czy aby nie będzie czasem jakich niespodzianek we Włoszech po wyzwoleniu północnej połowy tego kraju, z jej ludnością robotniczą i kipiącymi namiętnościami klasowymi. Naogół jednak Anglik nie martwi się tym, czego nie widzi na własne oczy.

Za Włochami jest Grecja, ważna dla brytyjskich komunikacyj imperialnych, więc też zajęto się ze strony brytyjskiej Grecją, ścierając się tam nawet zbrojnie z komunistami, czy może trockistami, jak ich teraz Anglicy lubią nazywać, dobierając wyrażeń stosownych dla smaku Stalina.

Za Grecją jest Jugosławia, więc też Brytyjczycy posyłają tam przynajmniej Subasicza, który cieszy się ich zaufaniem. Do Polski jest daleko i Polacy Subasiczów nie lubią. . .

I tak W. Brytania obchodzi dookoła rozbity garnek europejski, zlepiając go od zewnątrz i drutując, jak się da, ale nie dobiera się do garnka jako do całości, bo Niemcy nie są jeszcze pobite, Rosja mogłaby się pogniewać, a W. Brytania bez Stanów Zjednoczonych czuje się do tego nowego zadania za słaba. I jak dotąd, nie było współpracy amerykańsko-brytyjskiej w sprawach powojennych — z powodu konkurencji gospodarczej obu państw na rynkach świata. Od czasu do czasu pojedyncze głosy brytyjskie jak niedawno *The Economist*, grożą nawet Stanom Zjednoczonym przechyleniem się do ścisłej współpracy z Rosją, ale czy nie jest to czasem pogróżka chłopczyka, który na złość tatusiowi chciał sobie uciąć palec?

A tymczasem Imperium Brytyjskiego nie da się utrzymać, jeżeli Europa nie odzyska

swojej samodzielności, lecz znajdzie się pod hegemonią np. Rosji Sowieckiej. Wtedy też W. Brytania może dostać nawet w łeb skorupami z rozbitego europejskiego garnka, co oczywiście nie byłoby żadną pociechą dla samej Europy.

Polityka amerykańska ma więcej w sobie elementów długiej fali działania politycznego, niż polityka brytyjska, niestety na razie od strony negatywnej. Jest to jak dotąd polityka wyłącznie obrony pozycji amerykańskiej w świecie. Przy bliższym przyjrzeniu się Ameryce, okazuje się, że jest tam więcej ludzi rozumiejących o co dziś właściwie w polityce międzynarodowej idzie — niżby to wynikało z pozorów. Polityka amerykańska opiera się jednak na masach i dopóki masy nie rozumieją zagadnienia, politycy zachować się muszą biernie, markując tylko swoje stanowisko, aż wreszcie szerokie koła społeczeństwa zrozumieją o co chodzi i udzielą im swego poparcia. Nie można wątpić jednak, że uświadomienie polityczne mas amerykańskich postępuje olbrzymimi krokami naprzód.

Ameryka zmobilizowała się do wielkiej wojny z Niemcami i Japonią. Kierownictwo jej rozumie doskonale, że niedorzecznością była by dla Ameryki obecna wojna, gdyby z niej wynurzyć się miały inne mocarstwa zaborcze, które by zajęły miejsce Niemiec i Japonii i zaczęły grę od początku. Amerykanie rozumują zawsze w skali i kategoriach światowych, podobnie jak Rosjanie, i lepiej naszym zdaniem dostrzegają współzależność różnych odległych pozornie od siebie zjawisk, niż Brytyjczycy. I teraz więc dążyć będą do załatwienia wszystkich problemów, żeby nie musieć drugi raz się mobilizować. Ameryka gotowa jest pomóc Rosji w odbudowie powojennej i w osiągnięciu dobrobytu mas rosyjskich, natomiast nie pomoże Rosji w podbojach i zaborach. Ameryka potrzebuje bowiem dla swobodnego życia gospodarczego swobodnej wymiany dóbr z Europą, Chinami, Indiami i Bliskim Wschodem, a wszystkie te obszary leżą na peryferii Rosji. Gdyby tylko Chiny i Indie — mówił b. wiceprezydent Wallace — podniosły nieznacznie swoją stopę życiową, utrzymałyby w ruchu wszystkie koła fabryk amerykańskich przez długie lata. Więc niech Rosja zagarnie Europę? Bynajmniej, gdyż zagarnęłaby wtedy i Chiny i Indie! Bardzo to proste dla umysłów rozumujących kategoriami nowoczesnej techniki i w skali światowej.

Co Rosja może dać Ameryce za uznanie swoich faktów dokonanych w Europie Wschodniej?

Nic!

Więc, czy Ameryka da swój podpis pod dyktat rosyjski w tej części świata?

Naszym zdaniem: nie da!

Więc, co się stanie na obecnej konferencji Wielkiej Trójki?

Musi dojść do ustalenia jakiejś równowagi, gdyż inaczej świat nie zazna pokoju.

Polska położona jest na takim miejscu kuli ziemskiej, iż nadal znajdować się będzie w krytycznym punkcie układu światowego, jak dotąd znajdowała się w takimż punkcie układu europejskiego. Tylko płytkie umysły mogą dochodzić dziś do wniosku, iż z dwu kamieni młyńskich, między którymi znajdowaliśmy się dotąd, zostanie tylko jeden — bez względu na los Niemiec.

Ale skoro znajdujemy się na takim skrzyżowaniu sił, z jednej strony małe nawet przesunięcie się układu równowagi może wpłynąć znacznie na nasz los, z drugiej zaś małe nasze siły, moralne i materialne, mogą wywierać wpływ dziesięciokrotnie większy w skutkach ostatecznych, niż takie same siły położone gdzieindziej.

Musimy więc działać ostrożnie, a siły nasze muszą być zjednoczone.

Nie ma więc bardziej żałosnego widoku, jak różni polscy Subasicze, którzy dotąd czerpali z zaufania pokładanego w nich przez koła londyńskie — zamiast z zaufania narodu — a teraz na wyprzódki publikują w Londynie artykuły i broszury, by tylko prześcignąć "polskich" Titów w rewerencji dla siły i polityki sowieckiej. Są one bowiem — te publikacje — dyktowane raczej koniunkturalną chytrością, niż polityczną mądrością i nie przyczyniają się do rozwiązania trudności, a sprawiają tylko wrażenie polskiego rozbicia.

Polityka polska nie może też oscylować od jednego zagranicznego ośrodka dyspozycyjnego do drugiego. Musi to być polityka samodzielna. Nie można bowiem uratować się przez przylgnięcie do jednego z przesuwających się w układzie równowagi bloków, można natomiast wpływać, żeby gwałtownych przesunięć nie było.

Nie leży bowiem w interesie Polski ani jątrzenie między wielkimi mocarstwami, ani przyłączanie się do jednego z nich przeciw innym. Byłaby to polityka powiększania chaosu, a nie pokoju i regulowania stosunków na czas dłuższy.

Polskę uratować może tylko przywrócenie równowagi europejskiej — już bez dotychczasowych, zaborczych, Niemiec — i światowej. W tej równowadze jednak musi być przywrócone polityczne pojęcie Europy, jako pewnej całości. My żyjemy i rozwijamy się razem z Europą, lub też razem z nią upadamy i schodzimy w podziemia.

I dlatego ważne są nie kombinacje londyńskie o łączeniu Mikołajczyków z Bierutami i Subasiczów z Titami, ale ratowanie Europy i Polski na miejscu, przez zapewnienie narodom rzeczywistego, a nie fikcyjnego tylko prawa samostanowienia o własnych losach.

I tu dotykamy naszego stosunku do Rosji Sowieckiej. Kombinacje londyńskie o tworzeniu rządów "trzecich" na miejsce "pierwszych" i "drugich" dlatego są niedorzeczne, iż komitety komunistyczne zawsze mogą takie koncepcje przyjąć — mając do dyspozycji własne swoje, oryginalne, środki produkowania "woli ludu", która przecież władna jest wedle powszechnie przyjętych kryteriów zmieniać rządy, układy i traktaty. Chodzi więc o możliwe w stosunkach ludzkich gwarancje, że "wola ludu", że wola krajów okupowanych, objawić się będzie mogła *swobodnie*.

Jeżeli Rosja na to się nie zgodzi, nie pomogą żadni Mikołajczykowie i Subasicze. "Wola ludu", komunistyczna, zmiecie ich bowiem tak, jak zmiotła regentów, ministrów i posłów bułgarskich.

Największą zaś przeszkodę ze strony Rosji stanowią nie uzasadnione wymagania polityki państwowej rosyjskiej, bo te mogłyby być zaspokojone bez podbojów krajów sąsiednich. Przeszkodę stanowi partyjna biurokracja Kominternu, owe tysiące zawodowych rewolucjonistów, przysposobionych na licznych kursach do działania w każdym kraju europejskim. Ludzie ci dla chleba po prostu, dla dopełnienia swoich karier życiowych, nie odstąpią od dawnego programu komunistycznego, od realizowania dawno powziętych, wielokrotnie przemyślanych i w myśli wypieszczonych planów, wedle których wszystko w Europie ma być zburzone i budowane potem na nowo — na innych zasadach. Ci wszyscy kacykowie, ci kandydaci na Leninów i Stalinów, wyżywają się teraz w Polsce i w innych krajach europejskich i wątpić wolno, czy bardziej Moskwa ich prowadzi, czy oni Moskwę.

Wobec tego zjawiska, więcej niż zbrodnię, bo błąd zasadniczy popełniają ci wszyscy Polacy, którzy intrygując z Londynu osłabiają narodowy front jedności, którzy popisują się z Londynu swoimi marnymi pomysłami, działając przez to na rzecz owych zawodowych rewolucjonistów, a przeciw swojemu umęczonemu i skrępowanemu Krajowi.

Prędzej by wybaczyć im można długie lata bezczynności w komforcie zagranicznej stolicy, zakupionym za pieniądze płacone przez naród w walucie krwi, niż ich intrygi i machinacje, przypisujące Krajowi ich własne przymioty oportunizmu i defetyzmu.

M.R.

ARMIA KRAJOWA

WŚRÓD sił zbrojnych państwa polskiego, zaangażowanych w walce ze wspólnym wrogiem od pierwszych dni wojny, specjalne miejsce zajmuje Armia Krajowa. Utworzona nazajutrz po kampanii wrześniowej, armia ta podjęła dalszą walkę ze zbrojnymi oddziałami i władzami okupacyjnymi niemieckimi. Z natury rzeczy działania wojska podziemnego w kraju odbywały się w szczególnie trudnych i niebezpiecznych warunkach. Ponadto trzeba było wiele wysiłków i ofiar, aby wypracować i udoskonalić metody walki podziemnej, zupełnie różnej w charakterze i planowaniu od normalnych działań frontowych. Mimo tych trudności powstała z biegiem czasu na ziemiach polskich armia chyba jedyna w swoim rodzaju na świecie, obejmująca setki tysięcy ludzi, doskonale wyćwiczona i wewnętrznie zdyscyplinowana. W warunkach ostrej i brutalnej okupacji kraju mogła ona rozwijać swą działalność skutecznie tylko dzięki temu, że jako zaplecze i źródło rezerw służyło jej *bez wyjątku całe społeczeństwo polskie*. W jej szeregach od pierwszych dni obok synów chłopskich walczyła inteligencja, obok robotników biła się ludność mieszczańska. Armia Krajowa stała się więc symbolem walczącego narodu polskiego i jego zbrojnym ramieniem, zadającym dotkliwe ciosy wysiłkowi zbrojnemu i oddziałom nieprzyjaciela, i to już w okresie, kiedy inne armie sojusznicze znajdowały się jeszcze w stadium przygotowawczym do decydujących uderzeń.

Wszystkie te względy sprawiły, że Armia Krajowa jest najbliższa sercu każdego Polaka i przedmiotem szczególnego umiłowania całego narodu. Te też nie dziw, że od pierwszych tygodni ubiegłego roku, to jest od chwili wejścia wojsk sowieckich na ziemie polskie, troska i zaniepokojenie o los oddziałów polskich zaczęły się pogłębiać głównie z tej przyczyny, że rząd sowiecki odmówił porozumienia z władzami polskimi nawet w zakresie współdziałania wojskowego. Jak wiadomo, zgodnie z instrukcjami ówczesnego rządu, nakazującymi ujawnienie się oddziałom polskim wobec lokalnych dowódców sowieckich, Armia Krajowa przeszła wówczas do otwartych działań zaczepnych przeciwko wycofującym się wojskom niemieckim. Współdziałanie oddziałów polskich było chętnie przyjmowane przez Rosjan do czasu, kiedy trwały operacje wojenne na danym odcinku.

Pomoc dawana wojskom sowieckim nie była do pogardzenia z punktu widzenia militarnego. Rozmiarami swymi zdumiewała często oficerów sowieckich, którzy prawdopodobnie nie oczekiwali tak wysokiej liczebności i sprawności formacji polskich.

Dnia 7 lipca ub.r. oddziały Armii Krajowej w sile jednej dywizji zaatakowały garnizon niemiecki w Wilnie od zewnątrz i wewnątrz miasta w porozumieniu ze sztabem grupy armii sowieckich pod dowództwem gen. Czerniakowskiego. Krwawe walki trwały przez siedem dni do 13 lipca, kiedy całe miasto mogło być zajęte bez większego wysiłku przez wojska sowieckie.

Na północ od Wilna Armia Krajowa w sile trzech batalionów i jednej baterii artylerii współdziała przy zdobywaniu przejść przez Wilię.

Duże obszary na Wileńszczyźnie i w Nowogródzkim zostały już wcześniej oczyszczone z wojsk niemieckich przez oddziały polskie tak, że armie sowieckie mogły całą swoją energię skierować w kierunku głównych szlaków, którymi wycofywali się Niemcy.

Na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej pomoc dawana przez Armię Krajową posuwającym się wojskom sowieckim była niemniejsza. W bitwie o Lwów brały udział zarówno regularne oddziały polskie, jak i ludność cywilna, nie wyłączając . . . dzieci.

Oddziały Armii Krajowej zaangażowane również były w ciężkich walkach na tyłach niemieckich w Lubelskim, Sandomierskim i okolicach Rzeszowa.

Wreszcie bohaterskie powstanie w Warszawie przez ponad dwa miesiące wiązało pięć pancernych i cztery inne dywizje niemieckie i trzymało przejścia przez Wisłę przez osiem dni w pierwszym okresie walk. Znaczenie walk w Warszawie od strony czysto militarnej zostało docenione przez ekspertów niemieckich, którzy zostali wysłani na miejsce celem przestudiowania metod, zastosowanych przez Polaków.

Przez cały okres letniej ofensywy sowieckiej oddziały Armii Krajowej w sile 250.000 żołnierza wspierały wojska rosyjskie przez ataki na tyłach nieprzyjacielskich, niszczenie linii komunikacyjnych i transportów oraz w regularnych bitwach, staczanych często z przeważającymi formacjami niemieckimi, samodzielnie bądź we współdziałaniu.

Jak już wspomniano, pomoc wojskowa ze strony oddziałów polskich była chętnie przyjmowana przez lokalnych dowódców sowieckich. Skoro jednak tylko operacje wojskowe były zakończone, oddziały Armii Krajowej rozbrajano, oficerów najczęściej aresztowano i wywożono w nieznanym kierunku, a żołnierzy bądź pod przymusem wcielano do armii Berling-Żymierski, bądź osadzano — w wypadku odmowy — w obozach koncentracyjnych. W stosunku do wszystkich członków Armii Krajowej stosowano terror tylko dlatego, że stwierdzali swoją lojalność wobec legalnych władz państwa polskiego.

W Wilnie i Nowogródku, we Lwowie i Tarnopolu, w Lublinie i Zamościu, w Białymstoku i Siedlcach, w Sandomierzu i Rzeszowie aresztowania objęły tysiące ludzi, którzy przez pięć lat bez wytchnienia walczyli z niemieckim najeźdźcą. Aresztowań ich dokonuje *NKWD*, są przesłuchiwani przez oficerów sowieckich, sądzeni przez trybunały sowieckie i osadzani w obozach koncentracyjnych, gdzie warunki nie ustępują w niczym miejsca warunkom w osławionych obozach niemieckich. Do nich należą przede wszystkim obozy w Majdanku i w Krześlinie; w tym ostatnim internowani siedzieli w dołach po kolana w wodzie i w zupełnej ciemności. Pojemność obozu oblicza się na 1.500 ludzi.

Przekształcenie tzw. Komitetu Wyzwolenia Narodowego w tzw. Rząd Prowizoryczny przyniosło nową falę oświadczeń i zarządzeń skierowanych przeciw Armii Krajowej. Dnia 2 stycznia br. Osóbka-Morawski w deklaracji "nowego rządu" zapowiedział: "Niech ci, którzy ciągle jeszcze myślą o reakcyjnych i terrorystycznych celach, nie oczekują od nas łagodności ani litości. . . .Pozostaniemy na tym stanowisku dopóty dopóki wszystkie agentury reakcji nie zostaną zlikwidowane."

Dnia 17 stycznia br. radio w Lublinie nadało oficjalną proklamację do nowo zajętych terytoriów polskich:

"Gdy wojsko polskie przelewało krew w walkach o Pragę, hrabia Bór-Komorowski, dowódca tzw. Armii Krajowej, poddał się Niemcom na rozkaz znajdującego się na emigracji reakcyjnego szefa powstania warszawskiego. Gdy żołnierz polski bił się o wolność Polski, bandyci z narodowych sił zbrojnych w porozumieniu z Niemcami i Armią Krajową mordowali najlepszych synów polskiego ludu . . . .*Jest koniecznością wytępić zdrajców, bandytów, niepoprawnych złoczyńców i morderców z narodowych sił zbrojnych i Armii Krajowej.*"

Przemówienia ludzi z Lublina muszą budzić największe zaniepokojenie. Nie mogą one bowiem oznaczać nic innego jak zapowiedź zastosowania dalszych brutalnych represji w stosunku do Armii Krajowej, która posiada wyraźnie zdefiniowany statut *sojuszniczej armii kombatanckiej*. I chociaż sprawa Armii Krajowej w obecnych warunkach nie może być traktowana odrębnie od całokształtu stosunków polsko-rosyjskich, to nie mniej obowiązkiem rządu polskiego jest zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby wyraźnie była ustalona odpowiedzialność za akty wrogie wobec polskich sił zbrojnych i żeby opinia świata dowiedziała się o tej okrutnej krzywdzie, jaka spotyka jednego z najwierniejszych sojuszników w obozie alianckim.

D.

M. E. ROJEK

WYZWOLENIE CZY NOWY NAJAZD [1]

W JEDNYM z najpoważniejszych angielskich pism niedzielnych ukazał się niedawno artykuł, napisany rzekomo przez jakiegoś Polaka — *a Pole*, jak redakcja zaznacza — pod znamiennym tytułem "*Wyzwolenie a potem wolność*". Autor artykułu informuje publiczność angielską, że w Polsce, w tym czasie, dokonywa się wyzwolenie, choć nie ma jeszcze wolności, mianowicie nie ma różnych szczegółowych wolności, wolności słowa, wolności sumienia; jest tylko wyzwolenie.

Otóż takie informowanie cudzoziemców o wydarzeniach w Polsce, zwłaszcza połączone ze złośliwym atakiem na nasz prawowity rząd, jest zniekształceniem i przekręceniem faktów.

W Polsce bowiem w tej chwili nie tylko nie ma żadnych szczegółowych, małych, wolności; w Polsce nie ma także wielkiej, zasadniczej, wolności, bo nie ma tam wcale wyzwolenia. Gdyby armie sowieckie naprawdę wyzwalały nasz Kraj, gdyby bagnety sowieckie przynosiły wyzwolenie, a więc wolność, zasadniczą ludzką wolność, naród polski zniósłby z pogodą ducha czasowy brak poszczególnych wolności obywatelskich, spowodowany w strefie operacyj wojennych koniecznościami natury militarnej.

Gdzie jednak dowód tego, że w Polsce nie ma jeszcze wyzwolenia? Dowód widoczny dla wszystkich, nieuprzedzonych uczestników i widzów tej wielkiej i dramatycznej gry, której na imię druga wojna światowa?

Polega on na tym, że do Polski weszły nie tylko armie sowieckie, nie tylko marszałkowie, generałowie i żołnierze sowieccy w celu rozprawienia się z Niemcami! Gdyby tak było, naród polski zacisnąłby tylko mocniej zęby i pięści, wytężając ostatnie siły do walki z niemieckim najeźdźcą — ufny i pewny, że po skończeniu wojny i dzieła zniszczenia wziąć się będzie mógł do pokojowej odbudowy swojej siedziby.

Za armiami sowieckimi wkracza jednak do Polski także N.K.W.D. — policja polityczna sowiecka — i jej marionetki: Bierut, Osóbka i Żymierski, którzy ogłosili się na początku tego roku "rządem prowizorycznym Polski" i zostali uznani oficjalnie w tym charakterze przez rząd Związku Sowieckiego. Ostatnio przenieśli się nawet do Warszawy, Warszawy września 1939 oraz sierpnia i września 1944. Przed nimi zaś, przed marionetkami z Lublina, wkroczył do Warszawy kto inny, ktoś kto lepiej odzwierciedla prawdziwy sens wydarzeń. Był to Generał Popławski, oficer Armii Sowieckiej, obecnie dowódca polskich rzekomo oddziałów wojskowych. Na jego piersi widniały — jak prasa podaje — ordery Kutuzowa i Suworowa. Oto jest prawdziwa rzeczywistość!

Armia rosyjska, która znowu idzie pod sztandarem Suworowa — nie razi nas imię Kutuzowa, którego pamięć nie została splamiona w historii Polski, choć to także był nasz przeciwnik w boju — armia sowiecka, pojednana z ideałami Suworowa, nie tylko usunęła Niemców z Warszawy, ale równocześnie zainstalowała w tejże Warszawie rząd komunistyczny, t.j. delegaturę rządu Związku Sowieckiego, na czele której stanął obywatel rosyjski, zawodowy funkcjonariusz policji politycznej sowieckiej, występujący obecnie pod pseudonimem Bierut!

Metody sowieckie nie zupełnie podobne są do niemieckich. Niemcy zainstalowali byli w Krakowie Niemca z nazwiskiem niemieckim, rosyjski zaś protektor w Warszawie ma tyle nazwisk polskich, ile kto zechce. Ba, nawet obecne jego nazwisko składa się z dwu, bo jest ono połączeniem pierwszych głosek pseudonimów partyjno—rewolucyjnych "Bieńkowski" i "Rutkowski". Metody rosyjskie przypominają trochę japońskie, w czym nie ma nic dziwnego wobec geograficznego, przyjaznego zresztą, sąsiedztwa. Różnica polega na tym tylko, drobnym, szczególe, że Japończycy w Chinach znaleźli pewne

---

1) Przemówienie wygłoszone na zebraniu publicznym, zwołanym przez Związki Wschodnie R.P. w Londynie, w dniu 26 stycznia 1945 r., w Westminster Cathedral Hall.

osobistości polityczne chińskie, które oddały się im na usługi, Rosjanie zaś muszą w Polsce na początek czerpać z własnej wytwórni *syntetycznych Polaków*, nim — jak zamierzają — podchowają sobie janczarów. Tak samo zresztą było w Europie pod panowaniem niemieckim z jednym tylko, jedynym, znanym, wyjątkiem. Nie Polska bowiem wydała Hachę i Quislinga, Petaina i Lavala, Nedicza i Pavelicza, a wreszcie. . . . Własowa !

Armia rosyjska w Polsce jest silna, bardzo silna. Setki dywizyj piechoty, ogromne zgrupowania artylerii, tysiące i dziesiątki tysięcy czołgów i samolotów. Cały potężny, nowy i nie zniszczony wojną przemysł uralski i syberyjski, masy sprzętu amerykańskiego sięgające setek tysięcy samych tylko samochodów ciężarowych, 200 narodowości w szeregach Związku Sowieckiego —wszystko to złożyło się na ofenzywę, która idzie na pogrom Niemiec. Potężna to maszyna zniszczenia ! Ale czy tej organizacji siły i zniszczenia można z całym zaufaniem powierzyć przyszły pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe po pobiciu Niemiec ? Czy są to armie wolności, wolności od strachu i nędzy, wolności oddawania czci Bogu i wolności wyrażania własnej opinii ?

P. Litauer, b. zausznik b. polskich kół rządowych w Londynie, przemawiając ostatnio przez radio z Lublina, oświadczył, że popularność Armii Czerwonej wzrosła w Polsce po ostatniej ofenzywie. Ja sądzę, że ta popularność, jeżeli to teraz tak się nazywa, nie czeka na ofenzywy, lecz zjawia się odrazu, razem z tą siłą. Sowiety mają teraz może z 500 dywizyj i wszędzie one, gdzie tylko wkroczą, są niesłychanie popularne. Moim zdaniem, najbardziej popularne będą one w Niemczech i im więcej ich tam będzie, tym bardziej będą popularne, co zresztą nie jest bynajmniej powodem do zmartwienia. A gdyby Związek Sowiecki miał tysiąc dywizyj, to niewątpliwie popularność ich doszłaby do brzegów Atlantyku i Morza Śródziemnego.

To jednak co w ustach obskurnego ajenta nazywa się popularnością, w ustach mężów stanu określane jest zupełnie inaczej. Prezydent Roosevelt w swoim dorocznym orędziu o sytuacji Stanów Zjednoczonych m.i. powiedział :

" *w przyszłym świecie nadużycie siły, zawarte w określeniu " polityki siły " (power politics) nie może stać się czynnikiem nadrzędnym w stosunkach międzynarodowych* ".

Zajął się też tym zagadnieniem premier Churchill w swoim ostatnim przemówieniu w Izbie Gmin, zwracając szczególną uwagę świata na to, że Prezydentowi amerykańskiemu chodziło nie o potępienie każdej siły, siły jako takiej, ale tylko *nadużycia* siły. My — Polacy — także nie chcemy odmawiać Rosji prawa do posiadania siły i przyjemności chlubienia się tą siłą, jeżeli służy ona do takich pożytecznych celów, jak rozbicie zaborczości i tyranii niemieckiej, tak samo zresztą, jak chcemy, żeby i Polska była silna swoją własną, polską siłą. Polityka rosyjska w Polsce jednak nie opiera się na *popularności*, jak ten ajent światu tłumaczył, opiera się ona na sile ; jest to polityka siły, jest to polityka *nadużycia siły* !

A siła to rosyjskiej armii. Tak jak w 1918 r. silna była w Europie doktryna komunistyczna i słaba stosunkowo rosyjska Armia Czerwona, tak dzisiaj doktryna komunistyczna jest słaba i skompromitowana, silna zaś jest Armia sowiecka. Wypływają stąd wnioski podwójne, dotyczące zarówno doktryny jak i siły, których wyłożenie jednak przekroczyłoby ramy niniejszego przemówienia.

To co Rosja zrobiła obecnie w Polsce, to jest *najbardziej typowe* nadużycie siły, to jest zastosowanie siły — przygotowanej przez Rosję, przy pomocy amerykańskiej, brytyjskiej i polskiej, dla użycia tylko przeciw Niemcom—do wywarcia gwałtu i przemocy na narodzie polskim, osłabionym i wycieńczonym upływem krwi właśnie z powodu udzielania pomocy Brytanii, Rosji i Ameryce. Taka jest kręta konstrukcja polityki sowieckiej w Polsce.

Polityka siły, nadużywanie siły w stosunkach międzynarodowych, przeciw czemu występuje Prezydent Stanów Zjednoczonych, zyskując poklask brytyjskiego Premiera, nie tylko nie przyniesie zmęczonemu światu pokoju, ale wcześniej czy później doprowadzić musi do dalszej powszechnej konflagracji wojennej. Ufamy, że mężowie stanu świata zachodniego, bogaci w doświadczenia z wojny poprzedniej i wojny obecnej, uczynią wszystko co w ich mocy, a jest to bardzo dużo, by jednak do nadużyć niedopuścić.

Od nas zaś nie ma nikt prawa domagać się samobójstwa, by inni mogli spać spokojnie. My także chcemy żyć, w swoim własnym domu, i nawet czasem pokłócić się sami ze sobą, podobnie jak to się dzieje w prawdziwych demokracjach, w Anglii i Ameryce. Tak, zachciewa się nam tego luksusu.

Żeby jednak móc pozwolić sobie na ten zbytek w czasach pokoju, musimy teraz jednoczyć się i skupiać. I dlatego, my Polacy, w swoim własnym kole, wyciągnijmy wreszcie naukę z tej tak zwanej Linii Curzona, której celem było nie tyle podzielić Polskę, całą przeznaczoną na zsowietyzowanie — ile podzielić Polaków ! Tak ! I tego podziału ona dokonała. Znaleźli się bowiem tacy, którzy Linię Curzona wzięli na serio, którzy myśleli, że za nieszczęście Polaków ze Wschodu uratować będzie można szczęście Polaków z Zachodu. Głównymi wyznawcami tej teorii byli, i jeszcze są, zwolennicy polityki b. premiera Mikołajczyka. Do tych z nich, którzy widzą już dziś swój błąd, my Polacy nie dzielący Ojczyzny na części lepsze i gorsze, wołamy : walczmy razem, a wynik ostateczny pokaże, cośmy uratowali i cośmy zyskali, lub stracili.

Tak zaś zjednoczeni i zespoleni zwrócić się możemy do świata, do mocarstw, które nie mogą dopuścić bez swojej własnej szkody do nadużywania siły w stosunkach międzynarodowych.

W ostatniej swojej mowie premier brytyjski Churchill oświadczył, że zarówno Stany Zjednoczone jak i Imperium Brytyjskie przyjmą od Niemców tylko jeden akt polityczny : bezwarunkowe poddanie się. Oświadczenie to swoje zaopatrzył jednak brytyjski mąż stanu, równie w imieniu amerykańskiego Prezydenta jak i swoim, komentarzem, że :

" *wymuszenie od nieprzyjaciela bezwarunkowego poddania się nie zwalnia bynajmniej zwycięskich mocarstw od przestrzegania zasad ludzkości ani od obowiązków ich jako narodów cywilizowanych i chrześcijańskich* ".

Polska również walczy z Niemcami, bez przerwy walczy. I Rosja walczy, ale nie mówi wiele o bezwarunkowym poddaniu się Niemiec, a za to wiele o bezwarunkowym poddaniu się Polski. Bo cóż naprawdę oznaczały żądania przyjęcia bez zastrzeżeń i bez dyskusji Linii Curzona i Komitetu Lubelskiego ? Przecież to były warunki *sine quibus non* ! Przecież ich wypełnienie oddawało Polskę na łaskę Rosji i nie zapewniało w zamian nic, nawet obietnic o cywilizowanym i chrześcijańskim traktowaniu, których zresztą rosyjski komunizm dać nie może !

Ta polityka, to nadużywanie siły i stosowanie wobec Polski gwałtu i przemocy, staje się dziś, po bliskim już usunięciu niebezpieczeństwa niemieckiego, największą groźbą zawisłą nad Europą i światem, nad wszystkimi pięciu kontynentami i siedmiu morzami. Wierzę głęboko, ale nie tylko wierzę, ale i wiem, bo dyktuje mi to nie tylko ślepa ufność, ale i rozsądek, że świat pozna się wreszcie na tej groźbie. Bo jak powiedział wielki demokrata amerykański Abraham Lincoln : " ogłupiać można wszystkich przez pewien czas, ogłupić można niektórych na cały czas, ale ogłupić wszystkich i na cały czas — nie uda się ! "

Wołamy więc, my społeczeństwo polskie, wolne, nie w więzieniu, do sojuszniczych mężów stanu : bezwarunkowe poddanie się Niemiec może zapewnić im przy humaniźmie i chrześcijańskim charakterze zwycięzców zachodnich lepsze warunki bytu i rozwoju, niż przyjaźń sowiecka Polsce. Taka jest rzeczywistość. Takie są fakty, których wyminąć nie potraficie. Polska dlatego dziś jest bezbronna, że w 1939 r. wyruszyła na wyprawę krzyżową ocalenia świata zachodniego przed niebezpieczeństwem hitlerowskiego germanizmu. Dziś więc nie wolno dopuścić wam do tej hańby, żeby w wyniku tej wojny Polskę dotknął los Niemiec, albo jeszcze gorszy.

Za wielkie zresztą wartości, za wysokie stawki, są w tej grze ! Więc chociaż nie jest moim zadaniem ważyć tu szale wydarzeń i wnikać w perspektywy przyszłości, nie waham się stwierdzić, że w istniejących warunkach obiektywnych, przy zjednoczeniu sił polskich, i naszym udziałem po wielu cierpieniach, będzie ostateczne ZWYCIĘSTWO.

M. E. ROJEK

NOTY I UWAGI

ZAMIARY SOWIECKIE.

GDYBY jeszcze kto miał wątpliwości, jakie naprawdę są zamiary sowieckie w Polsce, musi je stracić po zaznajomieniu się z oficjalnymi i publicznymi wystąpieniami obecnych rządców naszego Kraju, t.j. władz sowieckich i ich pupilów lubelskich. Notujemy tu niektóre.

I tak radio lubelskie ogłosiło niedawno jakie być mają granice Polsce na zachodzie, północy i południu, pominęło zaś zupełnie tym razem sprawę granic Polski na wschodzie. Można się domyślać, że nawet linia Curzona traktowana jest w programie lubelskim już tylko jako granica sowiecka wewnętrzna.

Wrażenie to wzmaga się jeszcze po zaznajomieniu się z wystąpieniem głównej lubelskiej marionetki, Osóbki-Morawskiego, który oświadczył m.i. :

" Zagraniczną politykę Polski skierujemy w *nowe* łożyska. Dążymy konsekwentnie do *przemiany* przyjaźni i solidarności narodów słowiańskich w konstrukcyjny i owocny czynnik w kształtowaniu stosunków politycznych w *nowej* Europie oraz w gwarancję i najbardziej żywotną przesłankę bezpieczeństwa zbiorowego. Dążyć będziemy do *rozszerzenia i zacieśnienia* przyjaznych stosunków między Polską i naszym wielkim

(*ciąg dalszy na str.* 1146)

LINIA PODZIAŁU [1)]

JUŻ we wrześniu zeszłego roku charakteryzując emigracyjne społeczeństwo polskie w Londynie oraz ówczesny rząd p. Mikołajczyka stwierdza "Myśl Polska" istnienie dwóch "orjentacji", t.j. dwóch grup Polaków, jednych dążących do niepodległości Polski, drugich godzących się na duchową podległość narodu i państwa. Z tej odmiennej postawy każdej z grup powstały dwa odmienne programy polityczne, nawet odmienne cele wojny. Wówczas, żądała "Myśl" zmiany rządu wymagając by zadaniem nowego było, "... oceniać i rozgraniczać co jest polskie i co jest obce; przejść na orientację duchowej niepodległości, która jedynie może doprowadzić do istotnej niepodległości Polski".

I Bogu najwyższemu chwała — nowy rząd stał się ciałem, a jego postawa i program odpowiadają, w granicach możliwości, naszym pragnieniom i współczesnym interesom Polski, albowiem są polskie, są przepojone wolnością ducha narodu i przyszłą wolnością Kraju, są wyrazem dążenia do istotnie niepodległej Ojczyzny!

W następstwie tego faktu zarysowała się o wiele wyraźniejsza jeszcze linia podziału pomiędzy Polakami w Londynie, linia podziału, która przekroiła społeczeństwo i nawet stronnictwa niejako w poprzek, dzieląc ludzi niezależnie od ich ugrupowań politycznych czy społecznych i segregując Polaków raczej pod względem ich gatunku. STRONNICTWO NARODOWE przeprowadziło proces selekcji od wewnątrz już przed kilku laty; STRONNICTWO PRACY obecnie walczy z rozłamem w swym łonie; w P.P.S. ujawniają się antagonizmy; jak wiadomo istnieje grupa secesjonistów ze STRONNICTWA LUDOWEGO. I rzecz charakterystyczna, w niektórych z tych zespołów jest to "bunt dołów" przeciw autorytetom ześlizgującym się po pochyłej linii oportunizmu, jest to rewolucja obalająca augurów za sprawowanie władzy poniżej godności narodu i walka o uratowanie jedynej może nietkniętej wartości Polski, t.j. jej ducha!

Dowodem tego jest, że powstanie rządu premiera Arciszewskiego oburzyło do głębi członków dawnego rządu premiera Mikołajczyka — za wyjątkiem Ministra Kwapińskiego — a przede wszystkim londyńskich przedstawicieli Stronnictwa Ludowego. Z okrzykiem APAGE SATANAS! odwrócili się oni od obecnego rządu, w ten sposób przyznając się do rozpaczy z powodu odejścia od władzy, dając wyraz zawiści wobec konkurentów, a także — i to jest chyba motyw najsmutniejszy, wykazując istniejącą duchowo — narodową linię podziału.

W skutku, po jednej stronie znaleźli się zwolennicy dawnego rządu czyli może 5% Polaków w Anglii z byłym premierem Mikołajczykiem na czele, — po drugiej stronie jest 95% Polaków w Anglii, t.j. ci wszyscy których łączą hasła rządu premiera Arciszewskiego w imię niezłomnej obrony całej i niepodległej Ojczyzny, niezależnie od jej tragicznej i chwilowej doli. . . .

Lecz wedle "JUTRA POLSKI", (Nr. 2-gi) — obecnie organu ludowców londyńskich, który poziomem i treścią jest zaiste niecodziennym zjawiskiem w publicystyce polskiej — rząd premiera Arciszewskiego pozbawiony jest odwagi, polotu, ROMANTYZMU!! Albowiem romantykami są . . . ludowcy, którzy właśnie dlatego do tego rządu nie weszli!! Okazuje się więc, że romantyzmem jest . . . zadowolenie z pochwał lub gołosłownych obietnic obcych, ugodowość polityczna, minimalizm ducha i czynu . . . Widocznie ludowcy, postępując wedle swych ubogich zamiarów, które mierzą podług swych słabych sił, uważają się za rozumnych szaleni? ! I gdybyż posiedli przynajmniej "mędrca szkiełko i oko"! Lecz oni wbrew swej rzekomej romantyczności "nie znają prawd żywych — nie zobaczą cudu" — narodu odradzającego się przez miłość swej ojcowizny rozkwitającej co wiosny nadzieją, czy choćby chłopa wrastającego w ziemię, gdy przemoc go z niej usuwa. . . .

"Romantyzm" ludowców nie przeszkodził im uznać "linii Curzona", jedynie z poprawką Lwowa i Borysławia, za podstawę dojścia do ugody z Sowietami, przy odrzuceniu tylko, teoretycznie, rządu komunistycznej monopartii w Polsce. Czyli, że gdyby Komitet lubelski przyjął był w swój skład premiera Mikołajczyka, nie odbierając mu obywatelstwa, to kto wie czy on, zachęcony przyjaznymi rozmowami podczas obu spotkań w Moskwie, nie doszedłby z nim do porozumienia?

A tymczasem powstał rząd premiera Arciszewskiego! Więc wszystkich duchowo związanych z premierem Mikołajczykiem, ogarnął święty strach, że rząd ten samym swoim istnieniem narazi się Sowietom, a więc i Anglii — i tym samym zlekceważy ostatnią szansę interwencji Aliantów na rzecz Polski, pod kątem jej "realnych możliwości". . . .

Czyli — niech żołnierz we Włoszech czy Francji, oddaje życie za Polskę, niech w Kraju ginie naród broniący niepodległości, lecz tu, w Londynie, na Piccadilly, walczyć słowem czy uporem, to. . . nie fair, to nie godne gentlemena! Ta walka jest nawet ryzykowna i niebezpieczna, skoro może narazić na odmowę i niełaskę. . . I p. Mikołajczyk ogłasza uroczyście, że "Stronnictwo Ludowe nie jest w rządzie (. . . Premiera Arciszewskiego) i nie ma zamiaru w obecnym rządzie się znaleźć" ("JUTRO POLSKI", Nr. 3).

W tej odmowie współpracy STRONNICTWA LUDOWEGO z rządem obecnym ma się wyrazić najsurowszy wyrok na jego istnienie, prawie że zapowiedź jego zgonu! Bo jakżeż może istnieć rząd demokratyczny, bez przedstawicielstwa chłopów, stanowiących 70% ludności Polski? Rząd bez ludowców przecież to — fikcja!!

Po zastanowieniu okazać się może jednak, iż fikcją tą . . . są p. Mikołajczyk i jego ludowcy, w charakterze przedstawicieli ogółu chłopów w Polsce! Wiadomo bowiem, że duży odłam chłopów, jak dawniej tak i obecnie, należy do STRONNICTWA NARODOWEGO, tak samo pewien procent chłopów ciąży ku P.P.S. Czyli Stronnictwo Ludowe nie miało i nie ma monopolu na reprezentowanie całości tej warstwy społecznej, jaką są chłopi. W dalszym ciągu zaś stwierdzić należy, iż pp. Mikołajczyk, Kot et consortes nie reprezentują wszystkich ludowców w Kraju! Znowuż bowiem wiadome jest, że w samym łonie Stronnictwa Ludowego w Polsce, istnieją różne jego odcienie, podziały i grupy, niezgodne ze sobą w programie i taktyce i nie godzące się również na reprezentowanie ich przez p. Mikołajczyka.

Zresztą i w Londynie nastąpił rozłam wśród ludowców, tak że obecnie pewna ich część — pod przewodnictwem prezesa Nagórskiego — otwarcie i ostro atakuje politykę p. Mikołajczyka. Wnioskiem z tego jest, że nieobecnością ludowców z "Jutra Polski" w rządzie Premiera Arciszewskiego, nie należy się przejmować ani zbytnio martwić, bo nie wszyscy chłopi w Polsce, a nawet nie wszyscy ludowcy tym się przejmują czy martwią. A to jest przecież najważniejsze?

Pozatem, zastanawiając się nad perspektywą rozwoju wewnętrzno-politycznych stosunków w Polsce po wojnie i jej okupacji wojskowej, przewidzieć można, iż we wszystkich dziedzinach nastąpi prawdopodobnie uproszczenie architektoniki i wszelkiej konstrukcji, a więc i polityczno-społecznej, czyli że dojdzie do mniej licznego i różnorodnego wachlarza stronnictw, do prostszego i bardziej zasadniczego wyrazu poglądów i interesów społeczeństwa. I kto wie, czy po zaniku, rozpadnięciu się lub wchłonięciu wzajemnym poszczególnych ugrupowań, kapliczek, czy zborów społeczno-politycznych, nie pozostaną ostatecznie, poza narostem pasożytującego komunizmu, jedynie dwa prądy wewnętrznego życia Polski, najważniejsze i najistotniejsze dwa zręby, wiążące logicznie jej budowlę od prawego i od lewego jej skrzydła, t.j. Stronnictwo Narodowe i P.P.S.? Te dwa stronnictwa obejmują bowiem konieczne i wzajem dopełniające się kierunki myśli polityczno-społecznej, realizują w pełni funkcje prawicy i lewicy, są Torysami i Whiga-

[1)] Artykuł nadesłany — wyraża poglądy indywidualne autora. — Red M.P.

mi Polski.... To też po wojnie stronnictwa te, prawdopodobnie wchłoną w siebie: pierwsze — wszystko co jest obroną tradycji narodowej i nabytych praw społeczeństwa, przy traktowaniu narodu jako całości, a więc i dążeniu do reform ustawicznie wyrównujących narastające różnice społeczne; drugie — wszystko co jest z samej już zasady postępem, przy uwzględnieniu interesów państwowych Polski. Znaczy to, te dwa stronnictwa zgrupują około siebie, jedno — elementy bardziej radykalne, drugie — bardziej tradycjonalne, nieograniczając się dlatego bynajmniej do jakiejkolwiek specjalnej grupy społecznej.

Lecz gdzie znajdą się chłopi, poza ewentualnym częściowym i czasowym przylgnięciem do komunistów, mogący wywierać decydujący wpływ na polskie stosunki, dzięki swej masie dochodzącej do 70% całej ludności Polski? Wspomnieliśmy już powyżej, iż chłopi już przed wojną, jak też obecnie, chylą się ku P.P.S. i Stronnictwu Narodowemu, w zależności od swych lewicowych czy prawicowych nastawień. To zjawisko, z rozrostem wpływów i znaczenia obu wymienionych stronnictw, przybierze jeszcze na sile. Czyli chłop jako obywatel państwa, będzie mógł zadość uczynić swym aspiracjom politycznym, albo jako Socjalista, albo jako Narodowiec. Pozostanie jeszcze chłop jako czynnik społeczny t.j. element z którego głównie rekrutuje się Stronnictwo Ludowe i który nadaje temu ugrupowaniu, charakter raczej organizacji klasowej, mianowicie obrońcy interesów chłopskiej grupy społecznej. Obowiązkiem ludowców będzie więc zespolić te masy ludowe w jaknajwiększą gromadę, niczem zrzeszenia fachowe, walczyć o prawa dla nich oraz czuwać nad ich wykonaniem... W tej pracy i w tym swoim wysiłku organizacje ludowe powinny mieć pomoc ze strony wszelkich istniejących czynników, państwowych i społecznych, rządu czy stronnictw, które muszą zrozumieć, iż nie utrzyma się żaden rząd, ani żaden regime, ani wogóle państwo polskie, bez rozwiązania zagadnienia równouprawnienia, dobrobytu czy oświaty masy chłopskiej, jako podstawowej, wartościowej i najliczniejszej warstwy ludności.

Reasumując, stwierdzić należy, iż odmowa ludowców londynskich wejścia do rządu Premiera Arciszewskiego, rządu tego osłabić nie może. A furia ataku prowadzonego przeciw niemu przez kierowników poprzedniego rządu, dowodzi tylko ich bezsilności i złej woli i jest aktem antynarodowej i antypaństwowej demagogii, godnej inspirowanych — wiadomo przez kogo — artykułów Observera, demagogii którą już i obcy przeniknęli. Ludowcy londyńscy źle się zasługują Polsce, a nawet własnemu stronnictwu w kraju....

Zaiste, "linia podziału" przeorała nasze społeczeństwo emigracyjne wyraźnie i głęboko, odrzucając niektóre jego pokłady czy skiby poza ... graniczną miedzę Polski!

KSENOS

NOTY I UWAGI

(*Ciąg dalszy ze str.* 1144)

sąsiadem Związkiem Sowieckim oraz do ustanowienia *bezpośrednich* stosunków dyplomatycznych i zacieśnienia sąsiedzkich węzłów przyjaźni z *siostrzanymi* republikami Sowieckiej Ukrainy, Białorusi i Litwy". (Tłumaczenie z tekstu angielskiego we *Free Europe*, podkreślenia nasze—*M.P.*)

Nie potrzeba chyba więcej cytować. Zagadnieniu stosunku komunistycznego rządu w Polsce do Armii Krajowej poświęcamy w niniejszym N-rze *Myśli* osobny artykuł Można tylko dodać, że radio lubelskie co raz częściej informuje o działalności w Polsce rzekomo polskich "oficerów polityczno-wychowawczych", którzy kierują tworzonymi w Polsce oddziałami wojskowymi. Są to znani "politrucy" z Armii Sowieckiej, przeszczepieni teraz na grunt polski. Podobnie znaczące jest wystąpienie jakiegoś delegata "Ministerstwa Oświaty" na jakiejś rzekomej konferencji szkół w Warszawie, który oświadczył, że młodzież będzie mogła należeć do "pewnych organizacyj politycznych". Znamy te organizacje: nazywają się one "Komsomoł"!

Zakończmy cytatem z Lenina, zanotowanym przed paru dniami w *Dzienniku Polskim ze Scotsman'a*, o aneksji (wydanie rosyjskie B XII str. 13):

"Aneksja jest to wchłonięcie małego i słabego narodu przez silne państwo bez określonej, wyraźnej i wolnej woli ze strony tego narodu... Jeśli narodowi temu nie da się prawa rozstrzygnięcia problemów związanych z formą jego narodowego istnienia drogą wolnych wyborów (co oczywiście pociąga za sobą całkowite wycofanie wojsk państwa inkorporującego, lub poprostu tego silniejszego państwa) wówczas inkorporacja staje się aneksją, arbitralnym przywłaszczeniem przez obce państwo, aktem gwałtu".

NĘDZNA DEMAGOGIA

Pod takim trafnym tytułem pisze o lubelskiej "reformie rolnej" socjalistyczny "*Robotnik Polski*" z Nowego Yorku:

"Ktokolwiek jest nieco obeznany z techniką procesów parcelacyjnych, ktokolwiek zetknął się z praktyką wykrawania z większych majątków ziemskich gospodarstw drobniejszych, pod względem gospodarczym zdolnych jednak do życia, ktokolwiek zdaje sobie sprawę z olbrzymiego niedoboru narzędzi i maszyn rolniczych, z rozpaczliwego stanu żywego inwentarza, słowem ze zrujnowania gospodarstwa rolnego w Polsce przez Niemców, ten łatwo dojdzie do wniosku, że "reforma rolna" Osupki—to nędzna demagogia, nic innego. W warunkach gospodarczego zrujnowania, w jakich Polska cała się znajduje, jest rzeczą technicznie niemożliwą, aby w ciągu kilku miesięcy można było dokonać gospodarczo racjonalnej parcelacji kilkuset wielkich majątków, jest rzeczą nadludzką, aby w tak krótkim czasie można było wybudować i zagospodarować kilkanaście tysięcy nowych zagród chłopskich, zaopatrzeć je w narzędzia, wyposażyć w niezbędny inwentarz żywy, słowem przeprowadzić gospodarczo zdrową, gospodarczo celową parcelację wielkich majątków.

"Chyba, że narzędzi i inwentarza żywego dostarczył komitetowi Osupki rząd sowiecki, który ich sam nie ma, który po dwudziestu kilku latach nie zdołał gospodarczo rozwiązać u siebie zagadnienie rolnego i wskutek tego Rosja Sowiecka jest oddawna krajem głodującym.

"Reforma agrarna Osupki" ogranicza się, niechybnie, do rozdawania "dokumentów własności", problemu agrarnego w Polsce nie rozwiązuje.

"Wszystko to jest nędzną demagogią."

Z DZIEDZINY PORÓWNAŃ

Spotkałem niedawno pewnego znajomego Anglika, który mówiąc o wydarzeniach współczesnych ustawicznie cytuje Ewangelię, wyszukuje wśród współczesnych polityków Herodów, Piłatów i t. d. Teraz zwraca się do mnie i mówi: — A widzi Pan, Judasze są także. Od paru dni chodzą pogłoski po Londynie, że rząd Benesza ma uznać Komitet Lubelski. Wobec znanego faktu, że sam Benesz uzyskał uznanie na gruncie międzynarodowym w dużej mierze dzięki poparciu rządu Sikorskiego i znanej deklaracji czesko-polskiej z 1940 r. można by zastosować doń słowa: "Judaszu, co masz czynić, czyń prędzej".

W parę dni potem gazety ogłosiły, że rząd czechosłowacki w Londynie rzeczywiście uznał Komitet Lubelski.

SUBTELNOŚCI

Londyńska *Tribune* przynosi czasem, pomimo swojej doktrynalno-lewicowej postawy ogólnej, ciekawe i inteligentne spostrzeżenia. W jednym z jej ostatnich numerów czytamy o bułgarskim t. zw. *Froncie Ojczyzny*, t. zn. wewnętrzno-politycznej formacji bułgarskiej, służącej jako tło rządu podległości Sowietom. Oto tłumaczenie notatki:

"Ojczyźniany Front Bułgarii ma odbyć swój pierwszy kongres narodowy w dniu 9 marca. Radio sofijskie ogłosiło, że Komitet Narodowy Frontu zakłada sobie następujące cele Kongresu:

"Okazać się wielkim demokratycznym krajem słowiańskim, który jest zwolennikiem słowianizmu, zwolennikiem *wieczystej przyjaźni* z wielkim narodem rosyjskim, zwolennikiem *dobrych stosunków* ze Stanami Zjednoczonymi, Brytanią i Francją oraz zwolennikiem *najbardziej braterskiego sojuszu* i współpracy z nową Jugosławią a także zwolennikiem *najbardziej przyjaznych stosunków* z innymi narodami".

Kursywę dla podkreślenia tych bułgarskich subtelności i delikatnych rozróżnień wprowadziła *Tribune*. Od siebie dodajmy, że *braterstwo* z nową Jugosławią oznacza po bułgarsku to samo, co po polsku — w cytowanej wyżej wypowiedzi Osóbki — *siostrzaństwo* z Sowiecką Ukrainą, Litwą i Białorusią. *Słowiańskość* zaś w obu wypadkach również oznacza to samo, a mianowicie jak najściślejsze zespolenie się na wieki — w "wieczystej przyjaźni" — ze Związkiem Sowieckim.

POLSKIE — ARCYPOLSKIE!

(*a la* Rodoć)

Historia maleńka taka:
rodak podgryza rodaka.
Gdy skończy — ze łzami grzebie,
a potem gryzie sam siebie...

P

Jerzy Pietrkiewicz

TEN NIEZROZUMIALEC MICKIEWICZ

WIELBICIELE wygodnictwa a także tradycjonaliści, rozczulają się nad prostotą w literaturze, a każdy utwór zakłócający ich spokój intelektualny zaliczają automatycznie do mistycznego kręgu niezrozumialstwa lub poprostu nazywają bzdurą.

Jednostronny tradycjonalista intelektualny powtarza z powagą odkrywcy stare frazesy i powołuje się chętnie na autorytety. Wielbiciel wygodnictwa umysłowego zawsze powie: Ależ ja tego nie rozumiem! Jakie to musi być głupie! Nigdy natomiast nie wyzna: —Nie rozumiem. . . . Widać nie muszę być bardzo mądry. . . .

Leń zaś zgóry wie wszystko najlepiej. —Proszę wziąć za przykład Mickiewicza—oświadcza. Tak prosto pisał!—i cytuje z namaszczeniem epilog "Pana Tadeusza":

"Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste jako ich piosenki."

Mickiewicz napisał te słowa wiosną 1834 roku. Dziesięć lat przedtem niewielu w Polsce pogodziłoby się z tak formułowaną opinią poety o własnych utworach. Każdy tomik wierszy Mickiewicza wywoływał silną reakcję wśród wielbicieli umiaru, rozsądku, a nadewszystko "prostoty". Jakże bo mieć czelność pisać dziwactwa, skoro poezja dotychczas potulnie słuchała prawideł i czciła autorytety.

W roku 1818 Jan Śniadecki z powagą pouczał:

". . . Wszystko jest klasycznem, co jest zgodne z prawidłami poezyj, jakie dla Francuzów Boileau, dla Polaków Dmóchowski, a dla wszystkich wypolerowanych narodów przepisał Horacy, romantyzmem zaś to, co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza."

Młodzi wychwalali piękno i oryginalność ballad o motywach ludowych. "Wypolerowany" Śniadecki tymczasem tak oceniał duchy i czarownice w poezji:

"Cóż tu w tem nowego i dowcipnego? Wszystkie baby wiedzą dawno o tych pięknościach i mówią o nich ze śmiechem pogardy. Te niedołężności i brednie, przywołane z wieków grubiaństwa, łatwowierności i zabobonu. . . ."

Młodzi powoływali się na Shakespeare'a, żeby starym nudziarzom autorytetem zaimponować. Śniadecki miał odpowiedź gotową w zanadrzu:

". . . Szekspir bez starannego wychowania, bez wzoru, bez nauki. . . .
. . . Pisał na prędce, bez poprawy, bez wygładzenia i krytyki. . . ."

Wytworni w obejściu a wykwintni w mowie klasycy nie mogli powstrzymać się od używania słów ostrych i niezbyt "wypolerowanych", kiedy tylko mówili o zuchwałym nowatorze z Wilna. Koźmian oburza się w listach do przyjaciół:

". . . Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezją, brudy farbami, ciemność światlem, niezrozumiałość doskonałością."

Szczególnie poirytowały tradycjonalistów dziwaczne "*Sonety Krymskie*". Koźmian oświadcza poprostu:

". . . Sonety Mickiewicza najlepiej oznaczył Mostowski jednym słowem: "Paskudztwo".
". . . Mickiewicz jest półgłówek wypuszczony ze szpitala szalonych. . . ."

Zrównoważony w sądach i najmniej uprzedzony do Romantyzmu klasyk Fr. Morawski, próbując obronić "Sonety", używa argumentu jakże interesującego dla nas współczesnych:

". . . Mickiewicza mam za poetę . . . ."
". . . te perły tak są obryzgane błotem"
". . . Tysiąc mógłbym podać dowodów, że Sonety Mickiewicza oznaczają jego *przejście* od romantyzmu do klasyczności."

Nieprzystojnie pisał pan Mickiewicz po polsku. I strasznie zawiłe. Wódz klasyków biadał nad tym i prorokował Muzie polskiej smutną przyszłość:

". . . i my pójdziemy do Stambułu dla nauczenia się języka Mickiewicza, a nauczywszy się, może będziemy wielbili; teraz trudno chwalić, czego się nie rozumie. Śpiewał nam potem Odyńczyk (przyp. Red. Odyniec) litewskim tonem dwie nowe ballady Mickiewicza, obiedwie o Turkach: jedną o prawowiernym, drugą o renegacie, które nawet mimo chęci drażnienia się ze mną znalazł Krasiński (hr. Wincenty—przyp. Red). niedorzecznymi."

Umiarkowany Morawski palcem wytyka mickiewiczowskie względem języka przewinienia pisząc w liście z 1827 roku:

". . . Wkrótce ma wyjść trzeci tom Mickiewicza. Pewien jestem, że będzie wiele farb poetycznych, głębokich pomysłów, tkliwości, gdyby tylko więcej język szanował, trochę był jaśniejszym i przeciw gustowi tak okropnie nie grzeszył, abyśmy znowu nie widzieli *wąskich usteczek* jak z *piwonii wycięty listeczek*, a w licach *bladość opłatka*. Radbym także, aby tylu ckliwymi dyminutywami nie rozmazgajał naszego języka . . . Na koniec życzyłbym, aby też przecie coś innego nad ballady napisał, a coś zrozumialszego nad Dziady. . . ."

Na rok przed powstaniem listopadowym arcypoczciwy i arcyszlachetny Brodziński z trwogą mówi o przyszłości mowy poetyckiej:

"Wiecie bowiem czym grożą poeci? Poeta nowy język tworzy. . . . Ale pytam się, któż tym sposobem język polski za dziesięć lat zrozumie?"

Koźmian spróbował swój szczery niepokój wypowiedzieć mową wiązaną. Rymy to, zaiste, godne przypomnienia po 120 latach!

"Co Polsce po Horacym, gdy Szyller zostanie.
I naprzekór pierwszemu stargajmy przepisy,
Łączmy węże z ptakami, z jagnięty tygrysy;
Do końskiej szyi ludzką przypinajmy głowę,
Rybę z piękną kobietą spójmy na połowę,
A nad tymi cudami napełnioną kartą
Niechaj się gmin zadziwia z gębą wspólotwartą.
U gminu są godniejsze dla wieszczów pamiątki,
Usiądźmy z lutnią w ręku między wiejskie prządki,
I, własnym ich językiem nowe tworząc wzory,
Śpiewajmy: Wiedźmy, Strachy, Strzygi i Upiory . ."

Wreszcie wiersz wybucha oskarżeniem nieoczekiwanym:

"Przed takimi cudami któżby się nie korzył?
Lecz nie Bóg, ale dyabeł takich wieszczów stworzył!"

Nic więc dziwnego, że wśród "nadesłanych" do redakcji uwag ukazuje się w "Gazecie Polskiej" z 27 maja 1830 roku (Nr. 140) taki głos opinii publicznej:

". . . Biedna Polsko, biedna! To pan Mickiewicz twojej literatury ma być reprezentantem, tej literatury, która zaszczyt nie tylko tobie, ale całemu plemieniu Sławian przynosi, jako tchnąca jedyną w dziejach ludów ucywilizowanych szlachetnością, prostotą, godnością. Teraz o wiekach średnich, o waryatach z Goethego naśladowanych, o czułościach barbarzyńskich i demoralizacyą tchnących czytają Polacy i to uwielbiają zewiąc naiedowścią: mrowie przechodzi po nas, gdy o tem wspominamy. Czułość zwaryowanego kochanka Maryli więcej u nas ma wagi jak czułość ojca Urszuli. . . ."

Należałoby oczekiwać, że przynajmniej przyjaciele "zwaryowanego kochanka Maryli" obdarzą jego wiersze zupełnym zaufaniem. Nie wszystkim jednak z pośród kolegów wileńskich Adama wydała się *Oda do Młodości* utworem prostym. Czeczot wyznaje szczerze w liście z 1821 roku:

"W wieczór idę do Jarosza. "Pokaż Wiersz". Czytam trochę nieczytelne i to w czytaniu zawadza, czytam z cicha, i to jest impedimentum. Czytam uprzedzony. Myślę: co ten Adam tak się sadzi, tak zdobywa na szczególniejsze myśli i wyrazy? Skończyłem. Jarosz się śmieje. "Nie rozumiem"—"Z was żaden nie rozumie."

". . . Zaczął sam czytać. Jak zaczął czytać, a ja uszy jak zając nastroiłem: at, rozumiem pierwszą zwrotkę, at, dobra, piękna. Aż tam dalej *słońca okiem*—ach jak pięknie, jak wiele znaczące, jak wyborne wyrażenie! Tylko *wody trupie* zawadziły i nie były smaczne. . . ."

Nowator Mickiewicz wiedział dobrze co sądzić o swoich współczesnych i o ich "wypolerowanej" kulturze literackiej. Zanim zaopatrzył nowy tomik wierszy w złośliwy wstęp, wytłumaczył wpierw Lelewelowi swój stosunek do tradycjonalistów:

". . . rzuciłem niemało sarkazmów na warszawskie Kleinsdtädterei, wzajemne po-

(*Dokończenie na str.* 1148 *u dołu*)

" PRAWDZIWA I ZDROWA DEMOKRACJA "

ZWRACAJĄC się do katolickiego świata w szóste Boże Narodzenie wojny, mógł Pius XII do swoich słuchaczów zaliczyć większy niż dotąd zastęp narodów wyzwolonych już z pod przemocy niemieckiej, jak Francja, lub z pod ustroju totalitarnego, jak Włochy. W Allokucji najsilniej może przebija, że to Biskup rzymski zwraca się tutaj do Włochów, bo najbardziej uderzające ustępy odnoszą się do położenia ludów wstępujących na tę drogę, którą wojna ta przed narodami ma otworzyć, mianowicie swobód politycznych i pełnej demokracji.

" *Lux in tenebris lucet, et tenebrae eam non comprehenderunt* "—mówi Papież w pierwszej części swojej Allokucji, piętnując zarazem: " tę plamę w historii rodzaju ludzkiego, który — dobrowolnie ślepy na światłość Tego, który jest Chwałą i Światłem Ojca—dobrowolnie opuścił Chrystusa i został strącony w ruinę i wyrzeczenie się swojej własnej godności ".

A jednak uderza Ojca Św. paradoksalny rys obecnego położenia świata: " jest to dziwny kontrast, że wojna, której zaciekłość dochodzi do paroksyzmu, zbiega się z uderzającym postępem w aspiracjach i planach zmierzających do porozumienia i do stałego i trwałego pokoju. Niewątpliwie wartość, wykonalność i skuteczność tej lub owej propozycji może podlegać dyskusji. Sąd o nich może pozostać w zawieszeniu, pomimo to ruch ten istnieje ".

Niepodobna jednak, zdaniem Piusa XII, oddzielić porządku międzynarodowego od porządku, jaki wewnątrz pojedyńczych krajów panować będzie. Ruch polityczny w krajach wyzwolonych od totalizmu—Papież ma tu niewątpliwie na myśli Włochy—będzie miał za punkt wyjścia tę właśnie okoliczność, że to ustroje torujące drogę wszelkiej dowolności a nie dopuszczające konstytucyjnej kontroli, wywołały katastrofę światową.

Stąd też: " Te niespokojne rzesze, zmożone wojną do swych najgłębszych warstw, są dzisiaj przeniknięte przekonaniem, na razie mglistym i niepewnym, lecz obecnie już niewątpliwym, że gdyby nie były pozbawione możliwości krytykowania i poprawiania działalności władz publicznych, świat nie byłby wciągnięty w niszczycielską zawieruchę wojenną i że, dla uniknięcia na przyszłość powrotu podobnej katastrofy, ludy same zaopatrzone być muszą w skuteczne ręk mie".

Uczy jednak historia, że i demokracja nie jest lekarstwem na wszystkie społeczne i polityczne dolegliwości, uczy co więcej, że ustrój demokratyczny może być różnolity i, że w pewnych wypadkach on właśnie szybko doprowadza do władztwa nad narodami nieodpowiedzialne grupy — lub jednostki. Demokracja, choć znaczenie tego słowa nie przedstawia pozornie żadnej wątpliwości, jest przecież problemem tak złożonym i zjawiskiem tak pełnym zagadek, jak samo społeczeństwo ludzkie. Pius XII jest tego świadom, że demokracje bywają złe i dobre, zdrowe i zwyrodniałe, płodne lub niszczycielskie.

" Zatem w tym dniu, w którym rozpamiętywamy zarówno dobroć Wiekuistego Słowa, jak godność ludzką, godność nie tylko z punktu widzenia osobistego, lecz także w życiu społecznym, zwracamy naszą uwagę na problem demokracji, aby rozważyć jak powinna być sprawiona, by mogła zasługiwać na miano prawdziwej i zdrowej demokracji ".

" Wyrazić swoje zdanie o obowiązkach i poświęceniach, które mu się nakłada, a nie podlegać z musu posłuszeństwu bez poprzedniego wysłuchania go: oto są dwa prawa obywatela, znajdujące wyraz w demokracji, jak sama jej nazwa wskazuje. Z rzetelności, harmonii i dobrych wyników tego zetknięcia między obywatelami a rządem, wywnioskować możemy czy demokracja jest naprawdę zdrowa i zrównoważona i jakie są jej siły życia i rozwoju ".

Albowiem " Państwo nie jest bezkształtnym nagromadzeniem jednostek w pewnych terytorialnych granicach; jest ono i w rzeczywistości być musi organiczną i organizującą jednością prawdziwego narodu (*un popolo*). Naród, a bezkształtny tłum lub masa są to dwie różne rzeczy. Naród żyje i porusza się własnym życiem; masa jest sama w sobie bezwładna i może być poruszana tylko z zewnątrz. Naród żyje pełnią życia ludzi, którzy go składają, z których każdy w swoim miejscu i na swój sposób jest osobistością, świadomą swych odpowiedzialności i przekonań. Masa naodwrót, oczekuje bodźca z zewnątrz i jest łatwą igraszką w rękach kogokolwiek, kto zechce wyzyskać jej instynkty i wrażenia; gotowa jest iść dziś za tą chorągwią, a jutro za inną. Z bujności życia w prawdziwym narodzie rozlewa się ono obficie i bogato, rozrasta się w państwo i jego organy, wlewając w nie coraz to odnawiane siły, wraz ze świadomością jego odpowiedzialności i prawdziwym zrozumieniem wspólnego dobra ".

Ale " Państwo także może używać pierwotnych sił masy przebiegle powodowanej i kierowanej; w rękach ambitnej jednostki lub grupy, związanej sztucznie samolubnymi celami, państwo samo może, poprzez masy, zwyrodnieć i stać się prostą machiną, która narzuca swoją samowolę najlepszej części prawdziwego narodu. Wspólne dobro w ten sposób może być ciężko dotknięte przez czas długi, a zadana rana może być nieraz zagojona tylko z trudnością. To oczywiście prowadzi do dalszego wniosku; że masa, tak jak ją co dopiero określiliśmy, jest śmiertelnym wrogiem prawdziwej demokracji i jej ideałów wolności i równości ".

" W narodzie godnym tego imienia obywatel czuje w sobie świadomość własnej swej osobistości, swych obowiązków i praw, oraz swej wolności, związanej z poszanowaniem wolności i godności innych. W narodzie godnym tego imienia nierówności wypływające nie z czyjejś samowoli, lecz z samej natury rzeczy, nierówności kultury, własności, społecznego stanowiska, które oczywiście nie wykluczają sprawiedliwości i wzajemnej uczynności, nie są, zaprawdę, przeszkodą dla istnienia i panowania prawdziwego ducha wspólnoty i braterstwa. Przeciwnie, dalekie od przeszkadzania obywatelskiej równości pod jakimkolwiek względem, nadają jej one właściwe jej znaczenie, mianowicie, że w oczach państwa każdy ma prawo żyć godnie własnym swym życiem, na tym miejscu i w tych warunkach w jakich zamiary i cele Opatrzności go postawiły".

" Jeśli porównamy ten obraz demokratycznego ideału wolności i równości w narodzie, rządzonym przez ludzi uczciwych i roztropnych, cóż dostrzegamy w państwie demokratycznym, pozostawionym woli masy? Wolność, która się tłomaczy jako moralny obowiązek jednostki, staje się tyraniczną zarozumiałością, dającą wolne pole ludzkim zapędom i pożądliwościom ze szkodą innych. Równość wyrodnieje i zamienia się w mechaniczną niwelację i monotonną jednostajność, przy której prawdziwa godność, osobiste działanie i poczucie tradycji, słowem, wszystko co nadaje życiu jego wartość, stopniowo tonie i znika".

" Ci tylko się ostają, którzy z jednej strony stają się oszukanymi ofiarami pozornego uroku demokracji, naiwnie pomieszanego z prawdziwym duchem demokracji, z jego wolnością i równością, z drugiej strony mniej lub więcej liczni wyzyskiwacze, którzy posługując się siłą pieniądza lub organizacji, zdołali zapewnić sobie uprzywilejowane stanowisko w państwie ".

Polacy, wychowani w kulcie idei narodowej i tradycji katolickiej, wychowani w przekonaniu, że narodowość jest przede wszystkim wielką rzeczywistością moralną, czytając te słowa, zadumają się głęboko nad spuścizną dawnych pokoleń polskich, a wdzięczni będą Piusowi XII za to, że z wyżyn papieskiego tronu, udzielił sankcji przekonaniom, sercom polskim tak bliskim.

A.Ż.

(*Dokończenie ze str.* 1147.)

chlebstwa i wielką *obcych rzeczy nieznajomość*. Ta przedmowa jest tylko zagajeniem wielkiej walki, którą mam chęć wręcz rozpocząć i śmiałość czuję do końca w niej wytrwać. . . ."

Wytrwał w walce i zwyciężył. Bo dzieje poezji, tak jak dzieje całej sztuki, są nieustanną walką świeżości z nudą, nowoczesności z oschłą tradycją, odwagi odkrywczej z uświęconymi prawidłami; słowem: walką pozornego niezrozumialstwa z pozorną prostotą. Jakże trafnie zauważa L. Siemieński, pisząc o polskim obozie klasyków:

> " W polemikach między klasykami a romantykami warszawskimi, ci ostatni nie umieli wyzyskać argumentów o Horacjuszu, którym się nasi starzy ciągle zastawiali jako wszechmogącą powagą, gdy tymczasem Horacy w ówczesnym stanie literatury rzymskiej był głową nowatorów, romantykiem ujadającym przeciw Enniuszowi, Newiuszowi, Afraniuszowi, Plautowi i Terencyuszowi, uchodzącym za wzory klasyczne."

Można tę świetną analogię jeszcze głębiej w przeszłość przesunąć i przypomnieć, że już pierwszy krytyk starożytności Longinus nie znosił " romantycznych " elementów w " Odyssei " i że drażniły go w Homerze niektóre opisy cudownych zdarzeń i przygód.

W roku 1793 pewien przemądrzały wielbiciel prostoty, patentowany leń intelektualny pisał o sonetach Shakespeare'a, że są szczytem " afektacji, pedanterii, bzdury i nonsensu ". Co za niezrozumialstwo potworne !—biadał ten krytyk, angielski.

O, jakże pełno tych niezrozumialców w literaturze: Homer, Horacy, Lukan, Shakespeare, Donne, Keats, Hopkins, Hölderlin, Słowacki, Norwid, Rilke . . . Wydaje się, że dzieje rozwoju poezji są właściwie dziejami " niezrozumialstwa ".

Co za cios dla sielankowych wyznawców Muzy uproszczonej ! Bo i nawet ten Mickiewicz ! Nawet on, co to, panie, pod strzechy. . . .

JERZY PIETRKIEWICZ

Czesław Beyot

MADAME LA MAQUIS

SŁOWO "Maquis" przyszło do nas niespostrzeżenie. Na dobrą sprawę nikt na całym okręcie nie wiedział skąd i kiedy przywędrowało. Widocznie przyjęło się odrazu, wpadło w modę i wkrótce delektowanie się jego egzotycznym posmakiem należało już do dobrego tonu. Podobno nawet na jednym z rufowych pomieszczeń torpedysta jakiś, obdarzony natchnieniem, wizje już różne na ten temat miewał. Ale nawet i mniej utalentowanym tęskno było do zobaczenia nareszcie pierwszej prawdziwej inkarnacji "Maquis". Naturalnie, mogłoby to nastąpić tylko w niesłychanie bohaterskich warunkach. Wśród oślepiających błyskawic i bicia gromów. Oczom naszym ukazałby się wielki tytan, lamparcią skórą okryty, z rozwianą długą brodą i zatkniętym za pasem potężnym nożyskiem. Nikomu przez wyobraźnię nie przeszło, jaką niespodziankę chowała za pazuchą rzeczywistość.

Było to bodaj pod koniec lipca. Odrabialiśmy właśnie jeden z normalnych naszych patroli pod La Rochelle. Przedostatniego dnia patrolu, rano, gruchnęła po okręcie wieść: "będzie desant na ląd". Wszyscy chodzili jak zelektryzowani, tylko Bosman okrętowy—znany sceptyk—niezbyt entuzjastyczną przez swe zaśniedziałe zęby uronił refleksję:

—Komu się tam znowu kanarki po głowie kłócą!

—Tym razem na pewniaka, Panie Bosmanie. Sanitarjusz był na pomoście. . . .

—Kanalii na tego mameluka nie ma! Zawsze coś wywęszy.

Najwidoczniej autorytet Izby Chorych poskutkował. I słusznie, bo na "*Sztormie*" instytucja ta posiadała zawsze informacje z pierwszej ręki. W każdym razie stary Bosman poszedł na śródokręcie i zaglądnął do motorówki. Niby mimochodem.

Bogiem a prawdą, dawno nam się jakaś nagroda należała. Całe dwa miesiące tłukliśmy się, blokując zachodnie wybrzeże Francji. Napatrolowaliśmy się za całe życie. Zresztą orka nasza była naogół monotonna i jałowa. Zwłaszcza od owej pamiętnej poinwazyjnej nocy, której nikt, z tych co byli, nigdy nie zapomni. Niekoniecznie dla pięknej gali, czy telegramów lub nawet rubryki w księdze historii zapisanej nazwą "*Bitwa pod Isle de Bas*". Lecz przede wszystkim dla wydarzeń owej nocy, które stały się kamieniem grobowym niemieckiej floty. Pozostały z niej jedynie strzępy, które wolały nam się nie pokazywać. Z braku lepszego zajęcia biegaliśmy więc od Brestu do hiszpańskiej granicy, przyglądając się z daleka francuskim brzegom, ciągle jeszcze obsiadłym przez germańską szarańczę.

Widoki mieliśmy różne. Więc przedewszystkim noc uprzyjemnia nam wachty fajerwerkami. Wszystko tam było nad lądem—rakiety różnokolorowe, smugowe pociski,ostre błyski strzałów armatnich. Niekiedy dołączał się do kompletu ponury akompaniament czerwonych łun, ogarniających całe połacie nieba, i gasnących wolno zanikającym żarem. Wiedzieliśmy, że to *Bomber Command* urzęduje.

Od czasu do czasu różne instrumenty okrętowe—w nieznany bliżej nikomu sposób wydłużające wzrok lub słuch—ukazywały jakieś widma, echa, smugi. Ruszaliśmy wtedy z miejsca pełną parą, węsząc zabawę. Niestety, każdy alarm kończył się co najwyżej serją z Lewisa, nie licząc oczywiście pocisków oświetlających. Migotliwa ich poświata ukazywała oczom najczęściej zarysy bezbronnych żagli bretońskich—majaczących w ciemności nakształt skrzydeł katalońskich wiatraków. Dochodziła z nich z reguły skarga na brak "*mazout*" i na wiatr, że ścichł. Więc co mieli począć, gdy prąd znosił w zakazane strefy! Czasem w głębi kutra słychać było płacz kobiecy.

Za dnia natomiast główną naszą atrakcją był ogień nieprzyjacielskich baterii nadbrzeżnych. Opatentowaliśmy na to wspaniały sposób: ster na burtę, 300 obrotów i dym z komina. Skutkował radykalnie—jak renomowane leki. Doszliśmy w jego aplikacji do takiej perfekcji, że nawet najmłodsi adepci — siedząc pod pokładem, reagowali na każde nagłe zwiększenie się szumu wody za burtą i majestatyczny przechył wymowną uwagą: "strzelają". Z rozwieszonych nad głowami hamaków spływało nieodłącznie półsenne zawiedzione "znowu?". Tymczasem Niemcy strzelali rozmaicie; dobrze i źle, ale zawsze dużym kalibrem. Gdyby tak—nie daj Boże—który z tych cielaków o pomost zawadził? Chryste Panie!

Odżegnywaliśmy się przeto skwapliwie od podobnych niegościnnych okolic długim łukiem przestrzeni—skradając się po granicy donośności. I słusznie, bo nie ma sensu karku nastawiać napróżno. Zresztą miejsc takich było niewiele. Regułę stanowiły sielankowe widoki miast kąpielowych, małe porty rybackie przytulone cicho do złotego pasemka plaży, i przeglądające się w błękitnej toni oceanu bielą swych domków. Szalonym wzięciem cieszyły się wszelkie dalekowidzące przyrządy: lunety, dalmierze, dalocelowniki. Ktoś na pomoście zaprezentował nawet stare złocone "lornion" teatralne. Kto żyw lustrował panoramę pól i lasów, i porozrzucanych wśród wzgórz osiedli.

Mistrzem w wynajdywaniu sensacji był Krakowski, najmłodszy z dalmierzystów. Kiedyś w przystępie zapału naliczył podobno Jowiszowi aż 9 księżyców, za co go niemiłosiernie wzięli na języki nawigatorzy, wytykając, że pierwszy raz w życiu dojrzał Drogę Mleczną. W każdym razie on najczęściej meldował Niemców buszujących po plaży pomiędzy zasiekami. Ba!—nawet gniazda karabinów maszynowych i umocnienia baterii. Lecz nie trzeba było być Krakowskim, aby dostrzec rysujące się na tle brzegu czarne zarysy wraków o połamanych masztach, poprutych eksplozjami kadłubach. To ślady działalności R.A.F. i królewskiej floty.

Dziwne uczucia wywoływały te krajoznawcze widoki, zwłaszcza że duża część załogi rekrutowała się z pośród tak zwanych "Francuzów", t.j. Polaków z Francji. Niektórzy rozpoznawali swe rodzinne strony. Ileż by dali zato by im pozwolono pojechać motorówką na ląd,—choćby na kilka chwil. Można by było przywieźć świeżego prowiantu, i z pewnością gratis. Co najwyżej wypadłoby skoczyć na rowerze do pobliskiej wioski. Od lądu pachnie dziwnie upojnie i słodko. To Francja pachnie! Ta sama, która dla tylu z nas była drugą Ojczyzną. Francja. naszych ideałów. Gdzieś tam w Normandii ozgrywają się teraz jej losy,—dziwnie bezr niej! Jedyny wyjątek stanowią *Maquis*. . . .

Zespół nasz jest niewielki., dwa okręty: O.R.P. "*Sztorm*" i angielski "*Royal Pigeon.*" Rozstawieni z jakie pół mili od siebie podchodzimy ostrożnie do brzegu, kierując dzioby na wejście do portu. Przed nami rozsiadło się w całej swej okazałości malownicze miasteczko *Plages de Vannes*. Dwa lata temu myśl o podobnym widoku—graniczyłaby z samobójczym zamiarem. Stroniliśmy bowiem wówczas od Biskajskiej zatoki jak od zarazy, i z reguły nikt nie podchodził bliżej do lądu jak na 300 mil. Cała zatoka roiła się od *Heinkli* 177 i *Ju*. A dziś *ta sama* Francja rozpościera się przed naszymi oczyma!

Dalmierz zameldował właśnie odległość 6000 m do najbliższego mola. Dalej pchać się nie warto. Słychać dźwięk telegrafu maszynowego, ustają wibracje, i w chwilę później motorówka idzie na wodę. Cała załoga wyległa na pokład, by podziwiać wyprawę naszego oddziału desantowego. Przewodzi mu najdzielniejszy z dzielnych,—działonowy rufowego działa. Docinali mu coprawda koledzy po fachu, że się nie szanuje i powagę kanonierskiego cechu na szwank naraża, bawiąc się w komandosy. Ostatecznie, żeby to jeszcze kto od Botorsów—łatwiej by przyszło przeboleć, ale tu o wielką figurę idzie, pana i władcę podwójnej "setki"! Tak czy owak, nasz bohater miał pas skwapliwie nadmuchany, tak że się ledwo do kutra zdołał wtłoczyć. Ba! nawet czerwone światełko ratunkowe połyskuje w klapie, niczym baretka Legii Honorowej. Z wrażenia zapomniał widocznie zdjąć. Reszta komandosów przedstawia się równie imponująco—zbrojna w tommyguny, pistolety, rakietnice i reflektorek sygnalizacyjny. Z pod nasuniętych na oczy hełmów spoglądają twarze pełne namaszczenia. Z pomostu przychodzi ostatnia instrukcja: "Pamiętajcie! na waszą biało czerwoną rakietę okręt otwiera ogień".

Słychać gwizdek—motorówka opada na wodę, odrywa się od burty i w chwilę później znaczy swój bieg łopotem rozwianej biało czerwonej bandery. My pozostali zazdrościmy przygody. Bądź co bądź jest to pierwszy od czterech lat nasz oddział lądujący na zachodnim wybrzeżu Francji. Motorówka chowa się wkrótce za cypel.

Mijają długie minuty bez znaku życia ze strony lądu.—Może wpadli w pułapkę zastawioną przez Niemców? Lecz nie! Lewo-skrzydłowy sygnalista melduje, że widzi światło. Rzeczywiście błyska w oknie jednego z największych budynków, wyglądającego na hotel. Widać wyraźnie jak podnoszą flagę niebiesko-biało-czerwoną. Wkrótce i na innych domach zjawia się *Tricolore*. Tymczasem sygnalista czyta: "Niemców nie ma, wyszli dziś rano, jesteśmy w kontakcie z lokalnymi władzami."

W nastroju ogólnego oczekiwania mija pół godziny. Obserwatorzy meldują grupki ludzi, zbierające się na molo. Wreszcie z za falochronu wysuwa się powoli jakaś sylwetka. Jest to kuter rybacki średnich rozmiarów. Za nim ciągnie się sfora pomniejszych łodzi. Cała ta flota podąża ku nam. Na pierwszym kutrze można już rozpoznać gamę flag. Jest więc olbrzymi *Tricolore*, pod nim *Union Jack*, jeszcze niżej amerykańskie barwy. Na polskie kolory jakoś się nie zdobyli. Smutno trochę.

Powoli pierwszy z kutrów podchodzi do burty. Słychać dobitnie chóralny śpiew, dochodzą nas słowa: *Je jour de gloire est arrivé*. Z kutra na kuter rozśpiewała się Marsylianka wielką pieśnią uniesienia. Na twarzach widzów maluje się wzruszenie. Francuzi w kutrach gestykulują jak mogą. Są znaki *V* i kciuki do góry, gdzieniegdzie zaciśnięte pięści, pozdrowienie *Front populaire*. *Vive la Pologne* miesza się z radosnymi *Commant ca va?* i natarczywie powtarzanym "*Pas des Boches*". Młode Francuzeczki, stanowiące zresztą przygniatającą większość pasażerów, są szczególnie aktywne. Tabun ich wpadł na pokład, i ruszył po drabinach i trapach na pomost z bojowym okrzykiem: *Ou est le Commandant?* I gdy im wreszcie wskazano dowódcę, pierwsza z brzegu pulchniutka 15-latka rzuciła mu się na szyję z otwartymi ramionami, krzycząc na wpół z płaczem: *Est-ce je puis vous embrasser, Commandant?* Zaambarasowany dowódca żachnął się nieco, jeżeli może nawet nie z przekonania, to przynajmniej by ratować powagę swych pięciu galonów. Nie trwało to jednak dłużej jak skinienie oka,—pochwycił Francuzkę wpół, i wycałował na oba policzki. Po *Commandant* przyszła kolej na następnego z kolei "*Commandant en second*", "*en troisieme*" itd. Wszyscy byliśmy tego dnia "*Commandants*". I tak poszło to całowanie długim ogonkiem z pomostu na pokład. Było coś szczególnie wzruszającego w tym szale radości przeplatanym uporczywym "*Pas des Boches*". Skończyła się wachta, zajęcia, nawet stary bosman okrętowy dołączył się do jednej z gwarzących grup, których pełny był teraz cały okręt.

Trzech panów ubranych w furażerki z złotymi naszywkami zabrał dowódca nadół do swej kabiny. Poszli konferować na temat dostawy broni, której mieszkańcom Plages de Vannes tak bardzo potrzeba, aby opędzić się przed najeżdżającymi je kolumnami niemieckimi, szukającymi prowiantu, a zwłaszcza świeżej ryby. Dwa dni temu wandale owi rozstrzelali mera i 20 obywateli miasteczka jako karę za zasadzkę zastawioną na nich pod miastem przez FFI. Na stole leżą mapy, na których wytyczają się teraz pozycje garnizonów nieprzyjaciela, jego baterie, punkty łączności, obozy. Razem z panami w furażerkach jest i młoda dziewczyna, może z dwadzieścia dwie wiosny sobie licząca. Złote pukle włosów otaczają buzię o ślicznych regularnych rysach. Ubrana jest bardzo skromnie i ale z wdziękiem, tak właściwym przedstawicielkom jej rasy. Od trzech lat jest sekretarką F.F.I. Działała czynnie w polu, biorąc udział w niejednej dywersyjnej wyprawie. Niktby nie pomyślał, że ta bledziutka wątła panienka zdolna jest do takich czynów. Zaimponowała nam wszystkim. Najlepszy dowód, że w pewnej chwili rozsunęła się kotara, ukazując rozczochraną czuprynę mechanika, który wręczył jej małe zawiniątko. "*To dla tej Pani. Powiedz jej Pan, że te czekoladki są od maszyny.*" Potem znikł, jakby zażenowany, —on stary zbereźnik, na cnotę łasy jak mało kto—teraz sentymentom daje się ponosić!

Po czekoladkach przyszły inne upominki, zawiniątka torebki. Cały korowód amantów przewinął się przez korytarz dowódcy. Jakby ktoś pielgrzymkę urządził na odpust. Wśród darów znalazły się nawet 2 zwiędnięte goździki. Kwiaty tu na okręcie!—Skąd? Widocznie jednak po zakątkach dusz marynarskich porozrzucane jest uczucie obficiej niżby się można na codzień domyślać.

Rozpłakała się panienka, nie mogąc podołać wzruszeniu. I nie wiem, czy lekkie kołysanie okrętu, czy też nadmiar wrażeń jej zaszkodził,—lecz poprosiła by ją na świeże powietrze zaprowadzić.

Na rufie tymczasem ładowano do kutrów karabiny, amunicję, hełmy, granaty, słowem wszystko co się powstańcom przydać może. Stary Szef artylerii—znalazł nareszcie sposobności upchnięcia z ewidencji wszystkich gratów, które mu się nie podobały. Takie już poglądy na świat mają szefowie — wszyscy. Tuż obok artylerzysty otworzył swój konkurencyjny stragan komisarz, szacując kosze pomidorów, kapusty i płacąc brzęczącą monetą, lub wymieniając na puszki z kawą, herbatą lub mlekiem. Nadchodzi wreszcie chwila pożegnania. Pokład powoli się opróżnia. Francuzi wracają do łodzi. Słychać znów Marsyliankę i "*Vive la Pologne*". W ostatniej chwili podbiega do burty Stach, jeden z niegrzeszących zbytnim rozgarnięciem celowniczych, i pomagając sobie gestami próbuje dowiedzieć się od sekretarki, co właściwie oznacza napis F.F.I. na opasce. Odpowiada, że to milicja czyli inaczej Maquis,—że należy do nich od dwu lat.

—Jakto, to Pani należy do Maquis,—Pani jest "Maquis"?! Stacha zatkało do reszty. Obrócił oczy w słup, i powtórzył bezwiednie: "Madame la Maquis!"

Po chwili zerwał się i ruszył biegiem na rufę, by krew w żyłach mrożące odkrycie przekazać bosmanowi. Stary dobijał właśnie targu o kraby z brodatym rybakiem, tańczącym w łodzi-przy burcie okrętu. Niestety, śruby zdążyły już ruszyć. Zakotłowało się pod rufą, pęd wody uniósł z sobą łódź i sterczącego w niej rybaka, dzierżącego w garści potężnego kraba. Wyglądał śmiesznie—jak nowojorski posąg wolności w karykaturze.

Bosman był wściekły. I gdy w dodatku wpadł na niego Stach z nieprzytomnymi od wrażenia oczyma, powtarzając ustawicznie "Madame la Maquis"—Bosman nie wytrzymał.

—Skaranie boskie z tym bękartem. Parobkiem ci być, nie po pokładzie się pętać!

CZESŁAW BEYOT

LISTY DO REDAKCJI

W KRAJU WSZYSCY BYLI RAZEM

Szanowny Panie Redaktorze

Proszę mi pozwolić skreślić kilka słów wyjaśnienia w sprawie oblicza politycznego okupowanej Polski, o którym napisał jednostronnie autor "*Swastyki nad Warszawą*" Wacław Śledziński. Nie zabierałbym w powyższej sprawie głosu, gdyby nie przypadek, że wyszedłem z kraju wiosną 1940 r. oraz że do tego czasu (maj 1940) współpracowałem z grupą polityczną kierowaną przez Śledzińskiego. Występowałem wtedy pod pseudonimem "Sokół" i p. Śledziński napewno mnie sobie przypomina. P. Śledziński stwierdza, iż kraj całkowicie zwekslował na lewo, iż ruch podziemny jest w rękach lewicy, a nawet powiada "My, po odrodzeniu państwa musimy odrodzić się jako naród. Jedyna droga prowadząca do tego odrodzenia to socjalizm". Autor "Swastyki nad Warszawą" nigdzie nie widzi innych ludzi tylko przedstawicieli lewicy, czyli takich samych przekonań jak on sam, dostrzega wszędzie tylko prądy lewicowe i stwierdza "te same prądy nurtują w Warszawie, te same prądy nurtują w ośrodkach robotniczych, te same prądy nurtują w środowiskach inteligenckich".

Nie jest tak jak pisze p. Śledziński, jak również nie było tak w szczególności w tym okresie, o którym p. Śledziński wspomina, a w którym to okresie ja również byłem w Polsce i obracałem się pośród tych samych ludzi co i p. Śledziński. Wtedy w Kraju nie dzieliliśmy się na "lewicę" i "prawicę", a jak sobie przypominam najostrzej zwalczał ten podział u młodych sam p. Śledziński w pismach podziemnych "*Rzeczpospolita*" i "*Głos Robotnika*". Nietylko ja jedyny byłem w Warszawie podziemnej pełen uznania dla Śledzińskiego jako "konspiratora z charakterem", i dlatego też tym bardziej trudno mi jest pojąć to tendencyjne przedstawianie oblicza ideowego Kraju.

O ile Śledziński pisze w swojej książce, że w Polsce są wszędzie tylko ludzie lewicy, a w szczególności młode pokolenie jest "lewe", to przypomnę tylko dwa fakty. W lutym 1940 roku p. Śledziński przewodniczył sądowi specjalnemu, który skazał na śmierć trzech prowokatorów—wójta gminy Jabłonna i 2-ch policjantów. A z kogo wtedy składała się reszta członków tego sądu? czy był chociaż jeden człowiek "lewicy"—nie, było trzech młodych narodowców, a nawet prokurator był narodowcem. . . . Również p. Śledziński wspomina tragiczną sprawę radiostacji na cmentarzu w Krakowie, co aż samo prosi się o wyjaśnienie. Uczestniczyłem w pierwszych rozmowach p. Śledzińskiego z fachowcami radiowymi, gdy centralne władze podziemne dały mu polecenie zmontowania tej stacji. Po długich staraniach Śledziński znalazł odpowiednich ludzi w Krakowie, którzy podjęli się trudnego zadania, lecz czy to byli ludzie "lewicy"? —nie, to byli narodowcy z Krakowa, którzy wiedzieli, iż mają robić dobrą robotę, więc nie pytali czy p. Śledziński jest "lewy" czy "prawy", zaczęli tę robotę robić i wszyscy polegli.

P. Śledziński nie miał prawa pisać, że kraj jest wyłącznie pod wpływami socjalistycznymi, gdyż po pierwsze tak nie jest, a po drugie jest to najsmutniejsze skwitowanie długu wdzięczności wobec ludzi, z którymi p. Śledziński współpracował, rzucając wówczas hasła—wspólnego frontu młodych. Może słusznie napisał recenzent "*Myśli Polskiej*" że "*Swastyka nad Warszawą*" jest książką bardzo dobrą, lecz to pewnie dotyczy jej wartości literackiej, ale pod względem politycznym jest to książka niestety tendencyjna.

Z poważaniem
"Sokół"

(Od Redakcji: Autor listu, obecnie w Lotnictwie, podał swoje nazwisko Redakcji).

KSIĄŻKA

WORLD IN TRANCE by Leopold Schwarzschild.

NIEZWYKŁA książka. Pisana przez niemieckiego żyda, a będąca najcięższym może, jak dotąd, oskarżeniem Niemiec. Książka, którą powinien przeczytać każdy, kto chce wyciągnąć naukę z doświadczeń przeszłości. Opisując dzieje dwudziestolecia między dwiema wojnami, uczy, przestrzega, przypomina. Uczy, że natura ludzka pozostaje w istocie swej niezmienna i że wszelkie próby przebudowy świata, oparte na założeniu odrodzenia ludzkości przez cierpienie i katastrofy, prowadzą do nowych katastrof. Przypomina ciężkie błędy, popełnione w tym dwudziestoleciu przez państwa zwycięskie, błędy, które doprowadziły do powstania w centrum Europy u schyłku drugiego dziesiątka lat największej potęgi militarnej, ożywionej duchem zaborczości i odwetu. Przestrzega przed rozwiązaniem zagadnień organizacji powojennego świata w duchu Wilsonowskiego idealizmu, przed wiarą w zaszczepienie Niemcom instynktu pokojowego współżycia z narodami Europy; duch narodu niemieckiego, jego dążenia i aspiracje zostały te same od czasów Tacyta, a Rzesza Weimarska różniła się tylko fasadą form ustrojowych od Rzeszy Hitlerowskiej. I większość podstawowych zagadnień, które wysunęła wojna obecna, nie różni się od tych, jakie stały przed uczestnikami konferencji pokojowej w Wersalu; rozbrojenie militarne i gospodarcze Niemiec, światowa organizacja pokoju, kary za zbrodnie wojenne, bezpieczeństwo Francji, niepodległość i bezpieczeństwo małych narodów. Jest jednak i zasadnicza różnica: po tej wojnie pretendować będzie do udziału w rozstrzyganiu o losach świata czynnik nieobecny w Wersalu, a przytłaczający swą masą i zagadkowością: Imperium Sowieckie.

Gdy się czyta tę książkę, trudno się oprzeć przygnębiającemu wrażeniu, że myśl polityczna narodów nie zrobiła postępów. Wiara w odrodzenie ludzkości, rozmach i idealizm koncepcji Wilsona ustąpiły może bardziej realistycznemu pojmowaniu świata; znaczenie przypisuje się czynnikowi siły, znacznie mniejsze czynnikom moralnej i ideowej natury. Mniej się mówi o tym, że wojna obecna ma być ostatnią w dziejach ludzkości. Trudno to jednak nazwać ewolucją; spory i tarcia, antagonizmy i gra ciasno ujmowanych interesów zostały te same. Ludzkość niewiele się uczy z doświadczeń historii.

Są w książce ustępy, z którymi trudno się zgodzić. Autor potępia niemal wszystkich i wszystko, co się działo w okresie dwudziestolecia. Pomija jednak milczeniem rolę, jaką w posunięciach europejskich mężów stanu odgrywał wiszący nad światem ponury cień kolosa rosyjskiego i jego rewolucyjny imperializm, którego przeciwwagę widziano w odradzającej się potędze niemieckiej. Nie uwypukla roli, jaką w polityce dwudziestolecia odegrały interesy i powiązania międzynarodowego kapitału, stan opinii publicznej, zmęczenie i wyczerpanie wojną. Oświetlone z tego stanowiska pakty, konferencje i deklaracje lat 1920-1939 mogłyby się wydać mniej naiwne i niewytłumaczalne. Autor przypisuje decydujące znaczenie prymitywnym instynktom zbiorowości ludzkiej, dążeniu do panowania i władzy dla samej władzy; pomija wpływ czynników gospodarczej i socjalnej natury. Rola ich była jednak nieraz decydująca. Książka jest jaskrawym, umiejętnie podanym zestawieniem faktów; brak w niej ich pogłębienia.

Początkiem opowiadania jest data 7 października 1918 r., gdy rząd niemiecki zwrócił się za pośrednictwem Szwajcarii do Prezydenta Stanów Zjednoczonych z historyczną notą, proponującą zawarcie pokoju na warunkach, ujętych w czternastu punktach Prezydenta. Sylwetka Wilsona, wielkiego doktrynera i fanatyka swych idei, przedstawiona jest wyraziście. Nienawidząc Niemiec, uważał za swój obowiązek *bronić ich* wbrew stanowisku Clemenceau i Focha, a nawet swych własnych generałów. Miał swą koncepcję '*balance of power*'. Chciał, aby Niemcy były dość silne, by grozić aliantom bez Stanów Zjednoczonych, zbyt słabe, by móc się przeciwstawić wszystkim aliantom łącznie. Nad sprzymierzonymi miała wisieć groźba wycofania się Stanów ze wspólnej sprawy. Chciał przez to mieć głos decydujący w kształtowaniu przyszłości świata i odegrał tę rolę, opuścił go jednak jego własny naród. Nie ustępował nigdy, jeżeli był przekonany o słuszności swego stanowiska; przekonanie to rzadko tylko można było zachwiać, ale wówczas ulegał.

Autor opisuje znane fakty z okresu konferencji pokojowej, gorące i beznadziejne spory, walkę z Wilsonem wielkiego realisty, Clemenceau, historię projektu Ligi Narodów będącego kombinacją projektów angielskiego i amerykańskiego (*Hurst-Miller draft*), kontrprojektu Clemenceau-Bourjeois, przypominającego wysunięte w 25 lat później koncepcje Dumbarton Oaks. Idea jednak oddania do dyspozycji Ligi armii międzynarodowej była wówczas nie do przyjęcia nie tylko dla Wilsona, lecz również dla innych uczestników konferencji. Projekt Clemenceau upadł i poszedł w zapomnienie. Wilson miał instynktowną awersję do opierania organizacji pokoju na czynnikach siły i przymusu. Jego Liga zakładała harmonijną współpracę narodów w ramach dobrowolnej organizacji. Była, jak mówi autor, oparta na założeniu, że natura ludzka stała się odrazu czymś innym niż była dotychczas, na założeniu, że odtąd narody i rządy będą gotowe do ponoszenia wielkich ofiar dla dobra sprawiedliwości i powszechnego pokoju, że uroczyste przyrzeczenia przestrzegania moralności w życiu narodów będą dochowane bez jakiejkolwiek potrzeby używania siły. Miała być rodzajem ziemskiej Opatrzności. Wilson nie miał najmniejszych obaw, aby którekolwiek państwo mogło skorzystać z możliwości wystąpienia z Ligi, przewidzianej w jej statucie. Byłoby wszak wówczas '*wyjęte z pod prawa*'.

Clemenceau przegrał i zaczął szukać innych gwarancji. Zażądał oderwania od Niemiec lewego brzegu Renu z przyczółkami na prawym brzegu. Nie chciał jednak włączenia tego terytorium do Francji, z wyjątkiem basenu Saary. Pragnął utworzenia z reszty obszaru nadreńskiego oddzielnej republiki a narazie utrzymania tam garnizonu francusko-angielsko-amerykańskiego. Projekt dawał Francji i państwom Europy środkowo-wschodniej realne gwarancje bezpieczeństwa, ale oparł mu się nie tylko Wilson, lecz i Lloyd George. Clemenceau przegrał znowu, uzyskawszy jedynie, po długiej walce, czasową okupację Nadrenii przez wojska sprzymierzone.

Po latach dwudziestu pięciu podobne żądania wysunął gen. de Gaulle. Uzyskał podobno poparcie rządu sowieckiego, lecz stanowisko Anglii zostało niezmienne. Projekt Clemenceau miał zresztą również poparcie rządu cesarsko-rosyjskiego, rząd ten jednak w miesiąc później przestał istnieć, a bolszewicy podarli wówczas to zobowiązanie na równi z innymi.

Interesująca jest podana przez autora historia abdykacji cesarza Wilhelma i utworzenia republiki niemieckiej. Zdaniem Wilsona, Niemcy niedemokratyczne nie zasługiwały na litość, rozmowy o pokoju mogły być prowadzone tylko pod warunkiem radykalnej demokratyzacji ustroju, największą zaś przeszkodą do tej demokratyzacji był właśnie cesarz. Stanowisku temu Wilson dał nieraz wyraz publiczny. To przesądziło o losach Wilhelma. Był przeszkodą do zawarcia możliwego dla Rzeszy pokoju, musiał więc ustąpić. 25 października ukazał się, puszczony przez surową cenzurę wojenną, we '*Frankfurter Zeitung*' artykuł, dający do zrozumienia, że opinia publiczna widziałaby przychylnie abdykację cesarza. Abdykacji tej zaczęli domagać się również socjaliści, m. in. najbardziej wpływowy z nich, Filip Scheidemann. 31 października pismo ich '*Vorwärts*' zażądało wręcz abdykacji. 'Opinia publiczna' zaczęła przypisywać cesarzowi sabotowanie Wilsonowskich warunków pokoju i przedłużanie beznadziejnej wojny. Cesarz jednak nie reagował. Wówczas kanclerz Rzeszy, ks. Max von Baden, ogłosił w Berlinie o jego abdykacji. Wilhelm, postawiony wobec faktu dokonanego, musiał się schronić do Holandii. Rzesza cesarska miała wiązania wątlejsze, niż Rzesza hitlerowska.

Nikt jednak, nawet socjaliści niemieccy, nie miał zamiaru proklamować republiki. Przywódca ich, Ebert, późniejszy Prezydent Rzeszy, zgodził się na koronację najstarszego wnuka Wilhelma i na regencję. Zaszedł jednak wypadek nieoczekiwany. Po ogłoszeniu abdykacji cesarza zebrał się tłum przed siedzibą partii. Scheidemann miał wygłosić przemówienie. Kiedy się zbliżał do okna, ktoś go zatrzymał i szepnął, że na drugim końcu ulicy ma przemawiać komunista Karol Liebknecht i proklamować Niemiecką Republikę Sowiecką. Scheidemann zrozumiał, że musi powiedzieć coś, coby posmakiem sensacji przeciągnęło tłum na jego stronę. Tego nie mogła dokonać proklamacja regencji. Z własnego natchnienia, zbliżywszy się do okna, zawołał: 'monarchia przestała istnieć. Niech żyje Republika Niemiecka.' Ebert pozieleniał z wściekłości i obrzucił Scheidemanna wyrzutami, ale rzuconego hasła nie dało się odrobić. Powstała Republika Rzeszy Niemieckiej.

Dalej—historia wyłamywania się Niemiec z więzów traktatu wersalskiego, historia odradzania się i organizowania wojskowej junty oficerskiej, manewrów politycznych i okpiwania państw zwycięskich, sukcesów i porażek na tej drodze i marsz wielkimi krokami ku wskrzeszeniu potęgi militarnej. Wszystkie rządy, wszyscy kanclerze niemieccy, niezależnie od przekonań politycznych, byli ożywieni jedną ideą. Rathenau, Cuno, Stresemann, Luther, Brüning, Schleicher, von Papen. Jedynym poważnym przeciwnikiem, którego spotkali w tym marszu, był twardy i nieustępliwy Poincare. Wobec niepłacenia odszkodowań i fantastycznej, świadomie wywołanej, inflacji marki niemieckiej, zarządził w dniu 11 stycznia 1923 r. okupację Ruhry i pomimo natychmiastowej politycznej kontrofenzywy niemieckiej

pomimo stosowania przez rząd Cuno kosztującego niesłychane sumy ' biernego oporu ', unieruchomienia zakładów przemysłowych, komunikacyj i zahamowania życia gospodarczego, nacisków ze strony W. Brytanii i innych państw, wytrwał i wojnę o Ruhrę wygrał. Dnia 26 września 1923 r. Stresemann skapitulował; zagłębie Ruhry wróciło do normalnego życia, a francuskie, belgijskie i włoskie wojska tam zostały.

Wreszcie historia ' świstków papieru '. Pakt w Rapallo, obiecujący narazie ' wymianę myśli ' między rządami sowieckim a niemieckim przed powzięciem ważniejszych decyzji, pakt, który wciągnął Rosję w orbitę stosunków międzynarodowych; pakt w Locarno, największy bodaj sukces niemiecki, gdzie za cenę dużych koncesyj Niemcy zdecydowały się obiecać to do czego były już zobowiązane w traktacie wersalskim, a właściwie obiecać mniej; ewakuacja Ruhry przez wojska sprzymierzone; pakt Kellog-Briand, ogłaszający wojnę za zbrodnię międzynarodową; uroczyste wejście Niemiec po długich wzdraganiach się do Ligi Narodów. Plany reparacyjne, stale sabotowane; plan Dawesa; plan Younga. Przełomowy rok 1931. Proklamowanie unii celnej między Niemcami a Austrią. Pierwszy krok do Anschlussu. Pakt przestał istnieć po paru miesiącach, lecz jego skutki były katastrofalne. Francuskie i czeskie kapitały wycofały się z Austrii, nastąpił krach banku Rotschildów i załamanie się austriackiego rynku pieniężnego. W ślad za tym poszło wycofywanie kapitałów z Niemiec, moratorium Hoovera, bankructwo szeregu banków niemieckich. Zamrożenie kapitałów angielskich w Niemczech pociągnęło za sobą odpływ kapitałów z Banku Angielskiego, nastąpił kryzys walutowy, upadek rządu i dewaluacja funta. Marsz Rzeszy ku potędze przybierał czasami tempo zbyt ostre i już wówczas przyczyniał się do siania w Europie zamętu.

We wrześniu tego roku, gdy konwulsje walutowe, zaczęte w Wiedniu, dosięgły Londynu, gen. Honjo, komendant armii Kwantungu, otrzymał rozkaz działania i przekroczywszy nocą granice Mandżurii, jeszcze przed świtem zajął Mukden. Liga Narodów stanęła przed pierwszą poważną próbą skuteczności swego mechanizmu pokojowego i poniosła całkowitą klęskę.

Przyszedł rok 1933. Na horyzoncie Rzeszy —mówi autor—zajaśniała ognista, szybko rosnąca kometa hitleryzmu. Rzesza wycofała się z konferencji rozbrojeniowej, wysuwając hasło zrównania praw do zbrojeń. W marcu na czele rządu Rzeszy stanął Hitler i wypadki potoczyły się z zawrotną szybkością.

Jeszcze nie wszystko było stracone, Niemcy przechodziły okres niebezpieczny, jeszcze nie były potęgą militarną i nie mogły ważyć się na wojnę. Piłsudzki proponował Francji wojnę prewencyjną przeciwko Rzeszy. Propozycja, po konsultacji z rządem brytyjskim, została odrzucona. Wynikiem był pakt polsko-niemiecki z 26 stycznia 1934 r. Niemcy, wobec rzekomego odmawiania im równouprawnienia, występują z Ligi. System francuskich sojuszów wojskowych z państwami Europy środkowo-wschodniej i południowej zaczyna się walić. Barthou próbuje ratować sytuację i nawiązywać kruszące się sojusze, lecz ginie z ręki zabójcy. Ginie również Dollfuss, próbujący odepchnąć wyciągające się po Austrię macki hitleryzmu. Plebiscyt w zagłębiu Saary daje Hitlerowi 90 o/o głosów. Rzesza się zbroi w oszałamiającym tempie. 16 marca 1935 r. Hitler wprowadza powszechną służbę wojskową i zrywa otwarcie z wojskowymi klauzulami traktatu wersalskiego. Rada Ligi potępia ten krok, co ma ten tylko skutek, że Hitler proklamuje zapoczątkowanie wielkiego programu budowy floty podwodnej. 18 czerwca 1935 r. dochodzi do skutku pakt niemiecko-angielski, dający Niemcom prawo do utrzymywania większej floty, niż francuska i włoska. Pakt został zawarty wbrew siedmiu poprzednim porozumieniom z Francją i Włochami, zabraniającym Anglii oddzielnych układów z Niemcami w sprawie floty wojennej. Francja i Włochy nie zgodziły się na zawarcie paktu. Tym razem Anglia pogwałciła prawo. Był to nowy tryumf niemiecki, tryumf anarchii w imię coraz bardziej beznadziejnej idei zachowania pokoju.

Z końcem roku 1935 Niemcy przekroczyły bezkarnie niebezpieczny okres. Jeżeli ktokolwiek jeszcze—mówi autor—chciał żądać czegoś od Hitlera, musiałby to żądanie okupić potokami krwi. Demokracje były całkowicie nieuzbrojone i nieprzygotowane do wojny.

Potem Abissynia, sankcje i nowa klęska, a właściwie bankructwo Ligi Narodów. Dnia 7 marca 1936 r. wojska niemieckie wkraczają do Nadrenii. Jedenaście lat temu Traktat Lokarneński określił naruszenie demilitaryzacji Nadrenii, jako akt wypowiedzenia wojny, zobowiązujący Wielką Brytanię do natychmiastowej pomocy Francji. Było to właściwie więcej—zapowiedź dalszych aktów wojennych. Sprzeciw zbrojny jednak nie nastąpił. We Francji toczyła się kampania wyborcza frontu ludowego, którego przywódca, Leon Blum, oświadczył po dojściu do władzy: *' Chcemy przywrócić światu wiarę i nadzieję. I chcemyześrodkować tę wiarę wokół dwóch idei: wzajemnej pomocy i powszechnego rozbrojenia.'*

W r. 1935 Niemcy wydały na zbrojenia 1000 milionów funtów, Anglia w tym samym czasie—135 milionów, Francja—120 milionów. Przewaga niemiecka rosła skokami. A jednocześnie stawało się widoczne, że u boku Niemiec staną Włochy i Japonia. W r. 1936 powstało mgliste porozumienie, określone nazwą " Osi ". W parę tygodni potem—pakt antykomunistyczny.

System sojuszów francuskich zawalił się ostatecznie. Odstąpiły od nich Belgia, Rumunia, Jugosławia, proniemieckie—wedle autora—stanowisko zajął płk. Beck w Polsce. W Niemczech zakłady wyrobu broni pracowały dzień i noc. We Francji front ludowy wprowadzał "*la semaine à deux dimanches.*"

Potem wojna domowa w Hiszpanii, pakt nieinterwencji, wymyślony przez Bluma i otwarcie lekceważony przez Niemcy i Włochy. Rok 1938. 12 marca gen. von Bock wkracza na rozkaz Hitlera do Wiednia. Nikt się nie ruszył. Europa była sparaliżowana. Potem Sudety. Monachium. Ribbentrop oświadcza: " Wolno, lecz nieubłaganie tonie stary świat. Nic nie powstrzyma Niemiec na ich drodze." Rok 1939. Zajęcie Pragi. 24 sierpnia pakt sowiecko-niemiecki przyjaźni i neutralności. 1 września—początek wojny światowej.

Ciekawa była rola lewicy francuskiej i angielskiej w tych wypadkach dwudziestolecia. Lewica ta była stale zwolenniczką ugód, kompromisów, polityki "*appeasement*", paraliżowania zdecydowanej akcji. Hitler wiele sukcesów zawdzięcza stanowisku frontu ludowego i Labour Party.

Churchill miał podobno powiedzieć, że chciałby, aby tę książkę przeczytali wszyscy członkowie jego gabinetu. Istotnie, jest ona poglądową lekcją historii. Historia jednak niezawsze się powtarza i czasem wysuwa nowe i niepokojące zagadnienia. Oprócz państw, biorących udział w konferencji wersalskiej, inne państwa zasiądą przy stole przyszłej konferencji pokojowej. Nie ma podstaw do przyjęcia, że państwa te będzie ożywiał duch szlachetnego Wilsonowskiego idealizmu. Lecz ufać należy, że w urządzaniu przyszłego świata dadzą przynajmniej posłuch zasadom sprawiedliwości. Inaczej wojna obecna byłaby przegrana.

GLOSSATOR

POLAND'S PROGRESS

Już w drugim nakładzie ukazuje się książka o Polsce p.t. *Poland's Progress* 1919-1939, wydana przez Michael'a Murray'a w firmie *John Murray, Albermarle Street, London, W.* Słowo wstępne napisał Sir Ernest Barker.

Jest to bodaj czy nie najlepsza ze wszystkich książek o Polsce, napisanych po angielsku. Starannie zebrany materiał rzeczowy otrzymał niemal luksusowe opracowanie graficzne; rozdziały o ekonomicznym, urbanistycznym, naukowym i artystycznym rozwoju Polski zilustrowano ponad dwustu fotografiami. Polska prawdziwa, bez przesady propagandowej pokazana, staje w tym albumie przed oczami cudzoziemca: Polska kopalń i kanałów, starych wsi i nowoczesnych miast, szkół i zakładów leczniczych, Polska muzyki, poezji i sportu.

Duży obiektywizm cechuje *Poland's Progress*, zarówno w wyborze przykładów, jak i w ich skomentowaniu. Czytelnik angielski otrzyma nareszcie nie jednostronny, ale pełny i przekonywający obraz ostatniego naszego dwudziestolecia. Teraz szczególnie ukazanie się tej książki w drugim wydaniu powinno przyczynić się do sprostowania wielu błędnych informacji o rozwoju społecznym Polski, które, niestety, wciąż jeszcze zjawiają się prasie angielskiej — często — z zatrutych partyjnictwem źródeł polskich.

O.W.

MYŚL POLSKA

Wychodzi dwa razy w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 6/- lub $2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów): 12/- lub $4.

Printed for " Myśl Polska " by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1, February 15, 1945.